



KARATE STR. 12

reportaże:
z Manili i Londynu STR. 8:9

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 10 (1004)
6 MARCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



IDEOLOGIA

CO TO ZNACZY: POSTĘPOWAĆ POLITYCZNIE?

Z dyrektorem Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych w Uniwersytecie Łódzkim, docentem dr habil. ZDZISŁAWEM GRZELAKIEM rozmawia Lucjusz Włodkowski.

Postawiliśmy sobie perspektywiczny cel zbudowania rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Osiągnięcie tego celu nie jest sprawą ani prostą, ani łatwą. I dlatego warto chyba zastanowić się nad tym jak w świadomości społecznej funkcjonuje pojęcie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego? I na ile umiejętność widzenia celu perspektywicznego pozwala rozumieć zachodzące aktualnie procesy społeczne. Na ile uczy postępować politycznie?

— Nim odpowiem na postawione tu pytania — mówi Zdzisław Grzelak — chciałbym zaproponować jednak uściślenie pojęcia „świadomość społeczna”. Jest to pojęcie bardzo szerokie, a ponieważ będziemy mówili o tym, jak świadomość społeczna wpływa i warunkuje praktykę, jak przyczynia się do kształtowania postaw, byłoby dobrze to szerokie pojęcie sprowadzić do pewnych konkretnych.

Najogólniej definiując, świadomość społeczna jest to wiedza o podstawowych związkach, które na gruncie uwarunkowań społecznych i ekonomicznych decydują o funkcjonowaniu społeczeństwa. Dla praktyki społecznej jednakże znacznie ważniejszym jest pojęcie kultury politycznej, która mieści się w pojęciu świadomości społecznej, a która w sposób bardziej konkretny warunkuje zachowania polityczne społeczeństwa.

— Kultura polityczna jest wszakże formą, rezultatem funkcjonowania świadomości społecznej, zależy od jej treści i poziomu.

— Niewątpliwie. Ale zwracam uwagę na kulturę polityczną ze względów praktycznych, gdyż dzięki temu — w moim przekonaniu — można łatwiej pokazać związki między stanem wiedzy społecznej o uwarunkowaniach rozwoju społecznego a postawami i zachowaniami społeczeństwa. Na przykład to, co nazywamy edukacją ekonomiczną społeczeństwa jest ważnym czynnikiem kultury politycznej, gdyż nie jest to nie innego, jak stan wiedzy o celach rozwoju społeczno-gospodarczego, o uwarunkowaniach politycznych i gospodarczych rozwoju, zarówno zewnętrznych jak i wewnętrznych. Zasób tej wiedzy i umiejętność formułowania na jej gruncie ocen decyduje o postawach i zachowaniach ludzi oraz grup społecznych.

Trzeba tu jednak przypomnieć, że kultura polityczna ma w sobie element klasowy. W moim przekonaniu to, co jest elementem składowym kultury politycznej — cel rozwoju społecznego, a więc zbudowanie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, ma dzisiaj, kiedy nie mamy jeszcze społeczeństwa ponadklasowego, określony wydzźwięk klasowy. Zachowanie polityczne, umiejętność formu-

lowania ocen mają także charakter klasowy, polityczny.

— Kultura polityczna ma też uwarunkowania historyczne.

— Oczywiście. Jest to — jeśli można tak powiedzieć — bank wiedzy, którą człowiek nabywa w procesie historycznym. Na kulturę polityczną współczesnego Polaka składają się nawarstwienia — doświadczenia i nawyki ukształtowane w okresach poprzednich.

— I to sięgających daleko w przeszłość.

— Ale jest ona kształtowana przede wszystkim współcześnie.

— W sposób świadomy i zamierzony, gdyż chodzi nam o to, aby dominowały zachowania konstruktywne, sprzyjające rozwojowi społecznemu.

— Obok tego świadomego i programowanego kształtowania kultury politycznej dokonuje się tu jeszcze swobodny proces samoistny. Kultura polityczna kształtuje się pod wpływem doznań, faktów i obserwacji nie zawsze przecież pozytywnych.

— Inaczej, poziom kultury politycznej zależy od tych dwóch procesów: świadomego, zamierzonego jej kształtowania i samoistnego. Tak więc w przewidywaniu skutków działania społecznego i politycznego trzeba brać pod uwagę całokształt tego, co nazywamy kulturą polityczną, a szerzej — poziom świadomości społecznej. I tu wróciłbym do pytania: na ile świadomość celu rozwoju społecznego pozwala rozumieć zachodzące aktualnie procesy społeczne?

— Nie ma chyba wątpliwości, że w powszechnym odczuciu społeczeństwa generalny cel naszego rozwoju jest wyraźny: zbudowanie socjalizmu. Jest to świadomość, że obiektywnym, historycznym celem rozwoju społeczeństwa polskiego jest socjalizm. Ale jeśli ten cel i jego odbicie w świadomości traktować historycznie, to na poszczególnych etapach jest on różnie konkretyzowany. Inaczej w okresie budowy kraju, inaczej, kiedy budowaliśmy podstawy socjalizmu i inaczej dziś, kiedy ten konkretyzujemy jako zadanie — zbudowanie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego.

Należy podkreślić, że cel ten jest sformułowany ogólnie, gdyż nasza

ŚRODOWISKO

ALARM NA MORZACH ŚWIATA

CZYTAJ NA STONIE 5



Dalszy ciąg na str. 3

JERZY WILMAŃSKI

SZKODA TEGO LASU

Wiadomo powszechnie, że w świecie kultury dzieje się dużo dobrego, że w minionych latach odnotowaliśmy niezaprzeczone sukcesy. Nie znaczy to jednak, że wolni jesteśmy od pomyłek, że nie nurtują nas wątpliwości. Dlatego ten felieton chciałbym w całości poświęcić na pytania w kwestiach kultury i jej upowszechniania.

Pierwsza wątpliwość bierze się z interpretacji Ministerstwa Kultury i Sztuki Uchwały Rady Ministrów nr 142.

Otóż w „Monitorze Polskim” nr 30 opublikowano Uchwałę Rady Ministrów, stanowiącą (punkt 1, § 9), że „kierownik przedsiębiorstwa nie może zawrzeć umowy z pracownikiem bez pisemnej zgody kierownika zakładu pracy będącego dla pracownika podstawowym miejscem pracy”. Przepis, jak przepis — suchy i lakoniczny, więc Wydział Kultury Urzędu Miasta zwrócił się do MKiS o interpretację.

No i przyszło pismo podpisane przez wicedyrektora, mgr Ryszarda Kryśko. Według interpretacji MKiS przepis ten obejmuje prelekcje, odczyty i „wszystkie prace twórcze i autorskie”. Jeśli pisarz chce mieć spotkanie autorskie w bibliotece czy w domu kultury, musi przynieść na piśmie zgodę zwierzchnika. Jeśli pisarz pracuje w szkole, to dyrektor szkoły; jeśli w biurze — to kierownika biura... Jeśli muzeum chce w katalogu wykorzystać

wiersz czy esej pisarza, to zezwolenie zwierzchnika także jest konieczne.

W sytuacji, gdy w mieście istnieje dość duży ruch wydawniczy, podległy Wydziałowi Kultury (Towarzystwo Przyjaciół Książki, publikacje Miejskiej Biblioteki Publicznej oraz łódzkiej muzeów), taka interpretacja przepisu przyniesie więcej zamieszania niż pożytku. Przecież te wszystkie, potrzebne i cenne dla miasta inicjatywy wydawnicze, oparte są na nieetatowej, dorocznej współpracy pisarzy, dziennikarzy, plastyków i naukowców. Logicznie biorąc — interpretacja MKiS obowiązuje także Wydawnictwo Łódzkie, które przecież ministerstwu podlega. Czy więc wydając książki w łódzkiej oficynie też trzeba będzie przedstawiać zezwolenie szefów?

Przypuszczam, że intencjami MKiS kierowała dbałość o gospodarkę tzw. funduszem bezosobowym, połączona ze zbytnią wiarą w skuteczność gromadzenia papierków. Myślę też, że w tej interpretacji zbyt mało było poczucia rzeczywistości, a zbyt wiele ufności w wyobraźnię różnego rodzaju dyrektorów i głównych księgowych, którzy z ministerialnej wykładni przepisów są w stanie dodatkowo zrobić taką szopkę, że nam oko zbieleje.

Zwłaszcza, że już nas dochodzą wieści o sytuacjach z pogranicza skandalu. Oto znany pisarz i scenarzysta — autor głośnego ostatnio serialu tele-

wizyjnego... nie może spotkać się z licznymi czytelnikami. Pisarz pracuje bowiem w szkole i dyrektor nie zezwolił mu na spotkania autorskie. Stworzone zatem sytuacje, w której decyzja kontaktu pisarza z czytelnikiem zależy od widzimisię przypadkowych, niekompetentnych ludzi.

W tej sytuacji dochodzą do głosu małe zawiści i realizują się drobne porachunki. Oto aktorka, której mąż (także aktor) miał konflikt z dyrektorem teatru, nie otrzymuje zezwolenia na współpracę z telewizją. Wszystkie rzeczowe i logiczne argumenty tracą w tej sytuacji sens. Po prostu ministerstwo prawo decydowania o sprawach artystów oddało w ręce przypadku. Pisarz przypadkowo może być podwładnym durnia, artysta przypadkowo może być podwładnym człowieka zawiśniętego i małego.

Jak się dalej rozwinie ta niezwykła sytuacja — niestrudno przewidzieć. Podważone zostało bowiem fundamentalne prawo do wykonywania zawodu. Malarz pracujący na etacie w pracowni projektów nie może sprzedać obrazu bez zgody... dyrektora fabryki. Aktor nie może w wolny poniedziałek wystąpić w kabarecie bez zgody dyrektora teatru, który w ten sposób otrzymał prawo decydowania o wolnym czasie pracownika. W żadnym chyba zawodzie sprawa nie zaszła tak daleko, żeby dyrektorzy decydowali o tym, co pracownik ma robić w czasie, kiedy nie pracuje.

Jeśli ktoś wieczorem — zamiast oglądać telewizję, albo w nocy — zamiast iść na wódkę, usiadzie i napisze skecz dla estrady, albo artykuł do specjalistycznego czasopisma, to przecież robi to w ramach swojego wolnego czasu. Ingerencja w sferę życia prywatnego jest pogwałceniem podstawowych norm życia społecznego. Czy autorzy ministerialnej interpretacji uchwały Rady Ministrów nie pomyśleli o tym?

Te przedziwne sytuacje zrodziły się w resorcie, który nie jest w stanie rozwiązać paru — o wiele bardziej istotnych — problemów, jak choćby, podnoszony wielokrotnie od lat, problem podstawowego kanonu bibliotecznego dla masowego czytelnika:

Spróbujcie kupić w księgarni „Chłopów” Reymonta, spróbujcie kupić Żeromskiego, Sienkiewicza, Balzaka...

Wydaje się u nas dużo i wydaje się publikacje cenne i potrzebne. „Ilustrowana kronika Polaków” Siuchnińskiego i Kobylińskiego miała kilka wydań, ale wciąż jest dla nowych roczników dzieci niedostępna. A przecież zarówno ta — przykładowo tu przywołana — pozycja, jak i dzieła Sienkiewicza, Reymonta, Żeromskiego itp. powinny znajdować się w ciągłej sprzedaży.

Nie ma w ciągłej sprzedaży jakiegokolwiek podstawowego kanonu literatury polskiej i obcej. Są, oczywiście, cenne i różnorakie serie wydawnicze, ale są one — niestety — kroplą w morzu potrzeb. Narzekaliśmy przed laty na niedoskonałość ówczesnej serii Biblioteki Powszechnej, ale obecnie zastanawiamy się, czy nie jest ona dziś niedoścignym wzorem. Była tam wówczas „Droga przez mękę” Aleksego Tołstoja i „Komu bije dzwon” Hemingwaya, był „Chrzest Polski” Dowiata i „Polska Jagiellonów” Jasienicy — słowem był, może niedoskonały, ale podstawowy wachlarz książek, których dziś brak na rynku księgarskim.

Na tę pustkę biblioteczną, jaka grozi nowym rodzinom w nowych blokach zwrócił ostatnio uwagę Krzysztof Teodor Toeplitz w felietonie „Kanon

dla Ursynowa”. Takie dzielnice jak warszawski Ursynów powstają jak Polska długa i szeroka. To dobrze, że projektuje się meble dla młodych małżeństw, ale to smutne, że nie myśli się o kanonie bibliotecznym dla nowych rodzin. Patriotyzmu, poczucia obywatelskiej jedności, świadomości narodowej i wszechludzkiej więzi kulturalnej nauczyć się można tylko z literatury pięknej. Nie zastąpi jej ani gazeta, ani telewizja.

Powie ktoś, że to są pretensje — może i słuszne, ale do konkretnych wydawców. Oczywiście, ale jest to także pretensja do resortu. Jeśli w klubie sportowym „Stal Mielec” źle się dzieje, to przecież sytuacja ta obciąża w równej mierze mieleckich działaczy co Główny Komitet Kultury Fizycznej.

Jeśli zatem nasi wydawcy nie zdążyli dotąd wypracować metod i kierunków zmierzających do stałej dostępności bibliotecznego kanonu dla kulturalnego obywatela, to przecież jest to sytuacja obok której resort nie może przechodzić obojętnie.

Jak dotąd jednak resort woli kompletować dyrektorskie zezwolenia na druk wierszy, występy w kabarecie, czy spotkania z czytelnikami. Rozumiem chwalebne intencje położenia kresu chałturze, ale przy okazji — a może przede wszystkim — upuści się wiele inicjatyw, a chałturzyczycy i tak znajdą furtkę przez którą wyjdą na swoje.

Powie ktoś: „gdzie drwa rąbać, tam wióry lecą”. Ale po co rąbać drwa, gdy szkoda tego lasu?

MUZYKA

BEETHOVEN NIEZUPEŁNIE ZNANY

Minęło siedem lat i po obchodach 200 rocznicy urodzin mistrza z Bonn — 26 marca br. przypada 150-lecie jego śmierci.

O życiu Ludwika van Beethovena napisano wiele. Za sprawą takich biografów, jak Román Rolland czy nasz Hulewicz (od PIWu czytelnik polski otrzymał ostatnio kolejną, obszerną monografię napisaną przez George R. Marka) tragedia życiowa słynnego kompozytora związana z utratą słuchu, nieszczęśliwymi miłościami, dokuczliwą samotnością, stała się niemalże legendą. Podobnie zresztą jak jego szlachetność, bezkompromisowość postępowania, jak ideały moralne, którym podporządkował własną sztukę (wg Szymanowskiego: „odpowiedzialność wobec całokształtu życia ponad odpowiedzialnością wobec najwznioślejszego choćby ideału odcierwanego piękna”).

Dzieło Beethovena reprezentuje, jak pamiętamy, okres przełomu epok. Wraz z literaturą twórczością Goethego czy filozoficznym systemem Kanta stanowi ono podsumowanie kultury oświeceniowej i otwarcie drzwi na romantyzm. U-

twory beethovenowskie fascynować mogą zarówno logiczną, ścisłą myślą konstrukcyjną (forma jest tu oczywiście wolna od schematów: sam kompozytor wyraził się, że „nie ma zasady, której nie można by naruszyć po to, żeby było pięknie”), jak również potrafią wzruszać głębokim, uintensywnionym wyrazem uczuciowym. Kult muzyki Beethovena miał swe apogeum w wieku XIX, jednak również i obecnie muzyka ta stanowi „żelazny repertuar” koncertowy.

Nie oznacza to, że znajomość dorobku twórcy „Missy solennis” jest u nas pełna. W filharmoniach wykonuje się przede wszystkim jego dziewięć symfonii, pięć koncertów fortepianowych, Koncert skrzypcowy, niektóre uwertury. Odtwarzanie innych kompozycji należy do rzadkości. Wiele nie jest grywanych wcale. Nie docierają do melomanów wartościowe dzieła kameralne (np. ostatnie kwartety), wokalne (ogólna ilość pozycji wokalnych w tece kompozytorskiej Beetho-

vena wynosi nb. ponad 300!), by nie wspomnieć o puli nowo odnalezionych utworów, w ostatnich dopiero latach wykupionych za granicą z rąk prywatnych kolekcjonerów. Do grupy tej należą m. in.: Koncert na obój z orkiestrą, Koncert C-dur na skrzypce z orkiestrą, III Romans skrzypcowy, Trio koncertujące na flet, klarnet i fortepian z towarzyszeniem orkiestry, „Cantata campestris”, szereg pieśni, utworów kameralnych, solowych.

Obecna rocznica niech stanie się bodźcem do rozszerzenia beethovenowskiego repertuaru. Z jednym tylko zastrzeżeniem. Uczestnicząc ostatnio w zabawie dyskotekowej wysuwnym wyrazem uczuciowym. Kult muzyki Beethovena miał swe apogeum w wieku XIX, jednak również i obecnie muzyka ta stanowi „żelazny repertuar” koncertowy.

Takiemu rozszerzeniu beethovenowskiego repertuaru wypada się sprzeciwić.

JANUSZ JANYST

VIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI im. JANA ŚPIEWAKA

Organizatorzy: Urząd Miejski w Świdwinie (główny organizator) oraz Zarząd Główny Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, Urząd Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki w Koszalinie, Ośrodek Wojewódzki Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy w Koszalinie, Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Świdwińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Wojewódzki Dom Kultury w Koszalinie Oddział w Świdwinie i Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Śpiewaka w Świdwinie.

Celem konkursu jest popularyzacja młodej twórczości, rozbudzenie talentów, oraz stworzenie warunków do publicznych kontaktów i konfrontacji.

W konkursie mogą wziąć udział poeci nie zrzeszeni w Związku Literatów Polskich niezależnie od miejsca zamieszkania.

Na konkurs należy nadsyłać utwory, które dotąd nigdzie nie były publikowane i nagradzane w konkursach poetyckich.

Utwory o tematyce dowolnej — poemat, cykl wierszy (minimum 5 utworów) należy nadsyłać w 4 egz. do dnia 20 września 1977 roku na adres: **Wojewódzki Dom Kultury Oddział w Świdwinie, 78-300 Świdwin — Zamek**, z dopiskiem na kopercie „Konkurs Poetycki”. Każdy utwór winien być oznaczony godłem, to samo godło powinno występować w dołączonej kopercie zawierającej kartkę z nazwiskiem i adresem autora.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody: — **nagroda główna** — „Złoty klucz” i Tytuł Honorowego Obywatela Zamku Świdwińskiego oraz 6 tys. zł, — **trzy wyróżnienia I stopnia** — po 3 tys. zł, — **sześć wyróżnień II stopnia** — po 1 tys. zł, — **nagroda publiczności** — 2 tys. zł.

MIEDZY KROKIEM A UROKIEM...

Panie Redaktorze. Chochlik drukarski lubi się wkręcać w najróżniejsze miejsca. Pochłubił w tytule mojego artykułu w poprzednim numerze „Odgłosów” przekształcając „Urok kameralistyki” w „Kroki kameralistów”, co wszakże nie umniejsza ani trochę Pańskie go uroku (uwaga na korektę!). Tym jeszcze nie nasycony

uczepił się chochlik samego koniuszka notki informacyjnej i po słowach „przygotowanie solistów” obciął imię i nazwisko **Rajmunda Ambroziaka**, co może się okazać (uwaga!) krokiem brzemiennym w skutki, ponieważ dziekan wydziału wokalnno-aktorskiego PWSM nie zechce teraz w razie czego przygotować mnie na solistę. Tfu, na psa urok!

W smutku, ale z poważaniem
JERZY KWIECIŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMCZAK, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGO RZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

1977 — „ROKIEM RUBENSOWSKIM”

Rok 1977 został ogłoszony przez UNESCO „Rokiem Rubensowskim” ze względu na przypadającą w nim 400 rocznicę urodzin jednego z najślawniejszych malarzy w sztuce światowej, Piotra Pawła Rubensa — wszechstronnego i znakomitego mistrza sztuki baroku.

Obchody tej rocznicy w Polsce odbędą się w końcu lutego w Muzeum Sztuki w Łodzi. W programie 2-dniowym ogólnopolska sesja naukowa, na której zostanie wygłoszonych 17 referatów i komunikatów przygotowanych przez środowiska naukowe z całej Polski. W pierwszym dniu sesji (25 bm) w godzinach wieczornych w gmachu Muzeum Sztuki zostanie otwarta wystawa zawierająca ponad 100 dzieł Rubensa z dziedziny grafiki niderlandzkiej XVII wieku.

MEKSYKAŃSKI DYPLOM R. SMENDZIANKI

Podczas uroczystego koncertu w Pałacu Sztuk Pięknych w Meksyku Regina Smendzińska otrzymała dyplom członkini i Meksykańskiego Instytutu Kultury.

W okolicznościowych przemówieniach podkreślono, że Smendzińska wielokrotnie przybyła w Meksyku popularyzując osiągnięcia światowej i polskiej pianistyki i jako wykładowczyni w tujejszym konserwatorium wychowała kilku uzdolnionych artystów, przyczyniając się zarazem do podniesienia poziomu kultury muzycznej w Meksyku.

WAŻNE DLA KANDYDATÓW NA ARTYSTÓW

Rektorat Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej przyjmuje zgłoszenia kandydatów na Wydział Wokalno-Aktorski mający za zadanie kształcenie wysoko kwalifikowanych artystów oper i operetek. Dla kandydatów na ten Wydział nie jest wymagane przygotowanie muzyczne. Studia trwają 6 lat. Absolwenci otrzymują tytuł magistra sztuki.

Warunkiem przyjęcia jest: posiadanie świadectwa dojrzałości, nie przekroczony wiek 21 lat dla kobiet i 24 lata dla mężczyzn, doskonałe warunki głosowe, ale głos może być nieszkolony, predyspozycje aktorskie oraz dobre warunki zewnętrzne.

Przyjmowane są również zgłoszenia kandydatów na inne wydziały, a mianowicie: Wydział Kompozycji i Teorii Muzyki, Wydział Instrumentalny — z nauką gry na wszystkich instrumentach, Wydział Wychowania Muzycznego — studia dzienne (sekcja A) oraz studia wieczorowe dla czynnych nauczycieli muzyki i śpiewu w szkołach ogólnokształcących (sekcja B).

Na Wydział Kompozycji i Teorii Muzyki, na Wydział Instrumentalny oraz na Wydział Wychowania Muzycznego (sekcja A) — konieczne jest posiadanie dyplomu ukończenia szkoły muzycznej II stopnia.

Warto dodać, że PWSM w Łodzi posiada filię w Bydgoszczy, przy ul. Słowackiego 7, gdzie prowadzone są w pełnym zakresie studia magisterskie Wydziału Instrumentalnego oraz Wydziału Wychowania Muzycznego (sekcja A).

Podania o przyjęcie wraz z załącznikami na drukach przewidzianych dla szkół wyższych należy przesyłać pod adresem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi, ul. Gdańska 32, kod poczt. 90-716 w terminie do dnia 31 maja br. Egzaminy wstępne odbędą się w drugiej połowie czerwca 1977 r.

Dalszy ciąg ze str. 1

wiedza o tym, jakie ma to być społeczeństwo jest jeszcze niepełna. Cechy charakterystyczne rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego zostały dotychczas sformułowane jedynie ogólnie.

— Budowa rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego jest to konkretyzacja celu w procesie budowy socjalizmu, ale forma, kształt tego społeczeństwa jest jeszcze w sferze dyskusji, formułowaniu założeń, w sferze rozważań teoretycznych, kształtowania polityki i sposobów dochodzenia do tego celu.

— Tak to można ująć. Na przykład nie mamy pełnej jasności co do sposobu rozwiązania kwestii rozmiarów i struktury wzrostu społecznego, a więc tej konsumowanej części dochodu narodowego, która jest dzielona nie według wkładu pracy, a według kryteriów społecznych w celu kształtowania struktury konsumpcji i niwelowania nadmiernych różnic, które powstają przy podziale dochodu wyłącznie w oparciu o ilość i jakość pracy.

Innym ważnym zagadnieniem jest np. problem kierunków i form rozwoju demokracji socjalistycznej. Chodzi tu o zarysowanie głównych pożądanych tendencji rozwojowych, gwarantujących wyższe formy demokracji socjalistycznej, które powinny być charakterystyczne dla zbudowanego rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Takich problemów jest znacznie więcej. Odpowiedź na nie ukształtuje się w wyniku rozwoju teorii i praktyki, co nie znaczy, że nie powinniśmy o tym już dziś dyskusować.

— Tylko, że obecnie takich dyskusji prowadzimy za mało.

— Tak. Po prostu nasza uwaga skierowana jest przede wszystkim na problemy aktualne, które wymagają wszechstronnych rozważań. Może to powodować skrzywienie proporcji między celami bieżącymi i celami perspektywicznymi. W tym miejscu warto podkreślić, że odpowiednio zarysowane cele perspektywiczne mogą odgrywać rolę bardzo poważnych stimulatorów budownictwa socjalistycznego. I odwrotnie — brak takich celów może osłabiać indywidualne i społeczne zaangażowanie w tych procesach.

— Tak więc wiele problemów aktualnych trzeba umieć widzieć w perspektywie celu społecznego, do którego zmierzamy. Na przykład, w „Wytężonych KC PZPR na VII Zjazd PZPR”, przyjętych na XVIII Plenum KC PZPR we wrześniu 1975 roku rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne charakteryzuje się w następujący sposób: „Będzie to społeczeństwo w pełni socjalistycznych stosunków produkcyjnych i w miarę i na wsi...”. Historycznie uwarunkowany rozwój wsi spowodował, że jej struktura gospodarcza jest dziś przestarzała i nie odpowiada potrzebom gospodarki, jako że rozdrobniona wieś nie może podjąć zadaniom, jakie stawiamy przed gospodarką żywnościową. Z tego powodu niezbędnym jest rozwój silnych gospodarstw rolnych, w których ekonomiczne uzasadnienie znalazłyby konieczne inwestycje i które mogłyby dawać znacznie więcej produktów, specjalizując się w określonych dziedzinach produkcji rolnej. Ale taki kierunek rozwoju wsi i rolnictwa budzi pewne wątpliwości i rodzi pytanie.

— Takich pytań jest znacznie więcej. Można tutaj dodać zgłaszane często pytanie o rolę, jaką ma odgrywać w naszej gospodarce rzemiosło i jakie są perspektywy jego rozwoju... Jest takich pytań sporo. Wszystkie wymagają dopływu informacji, powiększania wiedzy o funkcjonowaniu gospodarki, pomocy w ukazywaniu związków i zależności społeczno-gospodarczych. Wymagają wreszcie formułowania ocen politycznych. Pojawianie się w skali społecznej pytań i wątpliwości jest zjawiskiem pozytywnym, świadczy bowiem o nieobojętności społeczeństwa, o jego zaangażowaniu.

— Wydaje mi się, że wszystko to wskazuje również i na to, że skarbnicę wiedzy społecznej trzeba nieustannie wzbogacać.

— Też tak sądzę. Warunki, w których żyjemy, ulegają ciągłym zmianom. Chodzi więc o to, aby kultura polityczna, rozwijając się, warunkowała zachowania społeczeństwa przepełnione mądrością polityczną.

— Kształtowanie kultury politycznej społeczeństwa powinno — przynajmniej w moim przekonaniu — odbywać się zarówno w płaszczyźnie ogólnych rozważań teoretycznych, dotyczących perspektywicznych celów rozwoju społeczno-gospodarczego, jak i w płaszczyźnie celów bieżących, doraźnych. Obecnie — wydaje mi się — zresztą ze względów zrozumiałych akcent został przesunięty na rozważania doraźne, a dyskusje na tematy docelowe zostały odsunięte na plan dalszy. Stąd też mogą się rodzić pewne nieporozumienia.

— Punkt ciężkości istotnie przesunął się obecnie z rozważań docelowych

na zadania, powiedzmy, bieżące, dzisiejsze. Ale wszystko to, co dziś robimy, będzie decydowało o tym, w jaki sposób osiągniemy cel perspektywiczny. Generalna strategia naszego rozwoju społeczno-gospodarczego przecież nie ulega zmianie, zmianom uległy ostatnio założenia taktyczne.

— W świadomości społecznej pojęcia strategii i taktyki nie funkcjonują jednakże w sposób dostateczny.

— I to rodzi niejasności, które nie znajdują wprawdzie odbicia w publicystyce, ale które można zaobserwować w licznych dyskusjach, rozmowach, prowadzonych w wąskich gronach. Odnosi się to — jak już wspominałem — nie tylko do rolnictwa.

— Wydaje mi się, że nie ma wątpli-

— Wróćmy właściwie do punktu wyjścia, do wniosku, że należy nieustannie wzbogacać skarbnicę wiedzy politycznej, społecznej i gospodarczej społeczeństwa.

— Nieustannie. Jesteśmy bowiem zainteresowani w kształtowaniu świadomości twórczej, konstruktywnej. Taka świadomość wymaga ciągłej modernizacji zasobu wiedzy. Z tego wynika, że każdy z nas powinien posiadać taką wiedzę, która pozwoliłaby mu widzieć i rozumieć problemy rozwojowe zarówno w skali państwa, jak i w skali przedsiębiorstwa czy gospodarstwa domowego. Chodzi o wiedzę kształtującą nas jako konstruktywnych współgospodarzy naszej ojczyzny.

— Chodzi więc o kształtowanie ta-

nowiska, a nie z osobowości tego czy innego aktywisty czy kierownika.

— To nie tylko to. Myślę, że częściej daje tu o sobie znać zerwanie kontaktu — jak to się mówi — z masami. A takie zjawisko może mieć miejsce na różnych szczeblach kierowania. Na najniższym także. Kowalski kierujący mówi co innego, a Kowalscy kierowani myślą co innego. On nie odpowiada na pytania, jakie ich nurtują, bo te pytania wydają mu się niewłaściwe. A może nie potrafi na nie odpowiedzieć, nie chce iść z nimi do swoich przełożonych i prosić o pomoc, bo wydaje mu się, że powstanie takich a nie innych pytań poddaje w wątpliwość wyniki jego pracy. Lepiej więc udawać, że nie ma sprawy.

ujęciu „makro” i „mikro”) i dzielimy wiadomości na dobre i złe. Dobre są te, które mówią, że program jest sprawnie realizowany. A złe te, które donoszą o trudnościach, nieprawidłowościach, zahamowaniach itp. Proces sterowania informacją zbyt często stosuje taką selekcję, która pokazuje przede wszystkim tylko dobrą stronę realizacji programu, chociaż to może zupełnie nie odpowiadać strukturze rzeczywistości. A dzieje się tak dlatego, między innymi, że przy dokonywaniu selekcji informacji rodzi się obawa, że ukazywanie zjawisk negatywnych może wywołać w społeczeństwie niewłaściwe wnioski i oceny. Oczywiście u podstaw takiego podejścia leży najczęściej brak wiary w poziom wiedzy społeczeństwa i w jego kulturę polityczną.

— Wydaje mi się także, że u nas panuje uproszczony stosunek do informacji negatywnych. Konsolidację i zaangażowanie budują nie tylko przykłady pozytywne. Czasem przykład negatywny może być dla procesu kształtowania konstruktywnych postaw dużo korzystniejszy niż przykład pozytywny.

— Wszelkie uproszczenia i jednostronność są w rezultacie bardziej szkodliwe niż ukazywanie rzeczywistości złożonej i skomplikowanej, a więc pełniejszej.

— Na przykład. Wiadomo powszechnie, że gospodarka Polski jest powiązana z rynkami światowymi. Dużo kupujemy w krajach kapitalistycznych i sporo tam eksportujemy. Wiadomo też, że świat kapitalistyczny przeżywał i przeżywa kryzys. Z powodów ideologicznych i politycznych powinniśmy ten kryzys pokazywać. Ale robi się to często tak, że pokazuje się skutki kryzysu w świecie kapitalistycznym, nie ukazując jak to ma wpływ i związki dla naszej gospodarki. Rodzi się wrażenie, że tam panuje kryzys, a u nas wszystko idzie jak najlepiej, podczas gdy wiadomo, że kryzys w świecie zachodnim poważnie utrudnia nam eksport do tych krajów, trudniej jest lokować nam towary na kapitalistycznych rynkach, zaostrzyły się kryteria nowoczesności i jakości, zaostrzyła się walka konkurencyjna. Myślę, że pokazywanie tych związków powinno uczulać tych, którzy produkują na eksport, zajmują się handlem, uczyć ich przewidywania ujemnych skutków, jaki na nasz handel zagraniczny wywierają wahania koniunkturalne w krajach kapitalistycznych.

— Pokazywanie trudności, z jakimi się spotykamy w kraju, wyjaśnianie ich przyczyn i stwarzanie warunków dla poszukiwania sposobów przezwycięzania tych trudności, to — choć stanowił strumień informacji negatywnych — ale w konsekwencji mobilizuje i rozszerza świadomość społeczną. Stymuluje postęp.

— Podczas gdy jednostronny strumień informacji pozytywnych zostanie zarejestrowany w świadomości, nie wywołuje żadnych reakcji.

— Weźmy jeszcze inny przykład. Mówimy, że musimy zlikwidować zadłużenie za granicą, jakie powstało w ostatnich latach. Traktujemy to jako jedno z podstawowych zadań gospodarczych. Tym bardziej jeśli się zwąży, że krążą na ten temat nieraz różne wersje, wypaczone faktyczny stan zadłużenia oraz warunki jego powstania, z których szereg (np. w odniesieniu do zakupów technologii) wybraliśmy świadomie, z przekonania, że robimy dobry interes.

— Gdyż w warunkach kryzysu na Zachodzie popyt na innowacje jest tam mniejszy od podaży, a więc można je kupować taniej i łatwiej. Poza tym rośnie tam inflacja, co powiększa efektywność zakupów. Kredyty były tanie. Były więc warunki do skorzystania z szansy. I myślimy z niej skorzystali. Czy zrobiliśmy źle? Ja jestem przekonany, że dobrze, że skorzystaliśmy z szansy we właściwym czasie.

— A na koniec naszej rozmowy proszę o kilka słów o Międzynarodowym Instytucie Nauk Politycznych UL.

— Instytut rozpoczął swoją działalność we wrześniu 1976 roku. Jest on placówką Uniwersytetu Łódzkiego oraz Politechniki Łódzkiej. Współpracujemy z Akademią Medyczną.

— Działalność Instytutu nie ogranicza się do formowania wiedzy politycznej studentów, a więc tych, którzy za kilka lat wejdą w czynne życie gospodarcze, społeczne, polityczne.

— Prowadzimy prace naukowe w pięciu Zakładach, zajmując się: teorią polityki i zachowań politycznych, doktrynami i ruchami politycznymi, stosunkami międzynarodowymi, problemami polityki gospodarczo-społecznej oraz metodologią nauczania nauk politycznych. W ramach tej działalności przystąpiliśmy do realizacji problemów węzłowych i międzyresortowych.

— Życzę pomyślnych wyników w pracy.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CO TO ZNACZY: POSTĘPOWAĆ POLITYCZNIE?



Foto: Archiwum

wości, że w układzie perspektywicznym dążymy do tego, aby socjalistyczne stosunki produkcyjne zapanały powszechnie. Dążymy do tego własną drogą, a to wynika z polskiej specyfiki. Jest to uwarunkowane historycznie. I to też nie powinno budzić wątpliwości.

Zastanawiam się, czy celowe jest stawianie pytania, kiedy konkretnie osiągniemy socjalizację wsi? Myślę, że stawianie takiego pytania do niczego konkretnego nie prowadzi, a powoduje zamęt i tendencje do uproszczeń i dogmatyzmu. Co więcej, uważam, że jest możliwe osiągnięcie prognozy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego przy funkcjonowaniu pewnego zakresu form gospodarki drobnotowarowej. Takiej możliwości teoretycznie i praktycznie nie można wykluczać w odniesieniu do części rolnictwa i rzemiosła. W pozostałych dziedzinach życia społeczno-gospodarczego możemy osiągnąć ilościowe i jakościowe efekty na miarę wymagań rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Marksisci nie mogą podchodzić do kompleksowych problemów rozwojowych w sposób sztywny i dogmatyczny.

Tu można odwołać się do przykładu rzemiosła. Po V Plenum KC PZPR, jak i po uchwałach sejmowej mówi się, że zapaliliśmy zielone światło przed rzemiosłem. Spotkałem się też z takimi opiniami, że myślimy już kilkakrotnie zapalili zielone światło przed rzemiosłem, a później zapaliliśmy czerwone, że w naszej polityce wobec rzemiosła — jak w popularnym porzekadku — chcemy, ale boimy się. W rezultacie odbija się to ujemnie na przygotowaniu kadr dla rzemiosła, na inwestowaniu rzemieślników i w ogóle na wypełnianiu przez rzemiosło jego usługowej roli w gospodarce.

Nasza polityka wobec rzemiosła i drobnotowarowego rolnictwa jest obecnie jasno i wyraźnie sformułowana. Wynika ona nie z przesłanek doraźnych i subiektywnych, a z uwarunkowań obiektywnych, zarysowanych perspektywicznie. Jej głównym celem jest maksymalne wykorzystanie dla potrzeb społeczeństwa zdolności wytwórczych i usługowych rolnictwa. Takie podejście dyktują aktualne i perspektywiczne potrzeby szeroko pojętej konsumpcji. Problem polega na popularyzacji tej polityki, na jej wszechstronnym przedstawianiu społeczeństwu. Jej główne założenia zostały przedstawione na V i VI Plenum KC PZPR.

— Jest to też wynik braku kultury politycznej. Jednocześnie jest to rezultat sposobu informowania. Nieprzypadkiem przecież na V Plenum KC PZPR z ust Edwarda Gierka padły następujące słowa: „...musimy głębiej oświetlić złożone problemy ostrzeżać ukazywać niedostatki, mobilizować siły moralne do ich przezwycięzania. Trzeba też stale rozszerzać zakres informacji, zapewnić jej wszechstronność”.

— Tak. Jesteśmy głęboko zainteresowani w tym, aby na przykład konkretny pracownik potrafił zrozumieć mechanizm funkcjonowania swego przedsiębiorstwa, umiał odnaleźć w nim swoje miejsce, potrafił wypowiedzieć się na konferencji samorządu robotniczego na temat programu pracy i rozwoju swego przedsiębiorstwa, aby umiał widzieć program działania swego przedsiębiorstwa, na tle branży i kraju, a nawet szerzej — w skali porównań międzynarodowych. Nie jest to łatwe do osiągnięcia.

— Jesteśmy w tym nie tylko zainteresowani, ale dysponujemy całym systemem kształtowania społecznej świadomości. Myślę tu nie tylko o środkach masowego przekazu, ale też o różnych systemach szkolenia — od partyjnego po poddyplomowe. Dysponujemy ciągle doskonałym systemem oświaty, szkolnictwem wyższym. A jednocześnie — mimo funkcjonowania tego systemu — nie możemy być w pełni zadowoleni z wyników politycznej edukacji społeczeństwa.

— Bo gdzieś tam doszło do zastrzymania pracy, bo w Radomiu doszło do niszczenia nie tylko mienia społecznego? Tak. Zdarzają się zachowania i takie, które nie wynikają z poziomu kultury politycznej, które mogą wywierać jej zaprzeczenie. Takich przypadków nie można lekceważyć, ale i też nie wolno popadać w przesadę w ich ocenie. One nie charakteryzują ogólnego poziomu kultury politycznej.

— Myślę, że pojęcie kultury politycznej powinniśmy odnieść nie tylko do podwładnych, ale i do przełożonych. Kultura polityczna powinna nie tylko warunkować zachowania grup kierowniczych, ale również powinna stanowić podstawę dla trudnej sztuki kierowania.

Zastanawiam się na przykład także zjawisko: kiedy nie ma sytuacji konfliktowej wydaje się, że w tym czy innym przedsiębiorstwie wszystko idzie sprawnie, aktywnie i kierownictwo spełnia swoją rolę w sposób zadowalający. Ale niech tylko ujawnią się jakieś, nawet drobne, sprzeczności — a gdzie ich nie ma — zaraz może się okazać, że ich autorytet był zbudowany na zbyt wątej podstawie.

— Bo jest to często autorytet wy-

— Jest to też wynik braku kultury politycznej. Jednocześnie jest to rezultat sposobu informowania. Nieprzypadkiem przecież na V Plenum KC PZPR z ust Edwarda Gierka padły następujące słowa: „...musimy głębiej oświetlić złożone problemy ostrzeżać ukazywać niedostatki, mobilizować siły moralne do ich przezwycięzania. Trzeba też stale rozszerzać zakres informacji, zapewnić jej wszechstronność”.

— Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że informacja jest bardzo ważnym czynnikiem kształtującym świadomość społeczną. Dla nikogo też nie ulega wątpliwości, że konstruktywne wykorzystanie świadomości społecznej w działalności gospodarczej, społecznej, politycznej może być tym większe, im wyższy jest stopień poinformowania. Dopływ informacji w całym świecie jest sterowany i to też jest oczywiste. I wreszcie — w dziedzinie gromadzenia i przekazywania informacji dzięki rozwojowi techniki dokonano się prawdziwa rewolucja. Istnieją zatem wszelkie warunki ku temu, aby strumień informacji docierający do społeczeństwa był pełny, obfity i szybki.

— A w praktyce narzekamy na niedostatek informacji.

— Ludzi często denerwuje poziom i struktura informacji. Jeśli na informację dochodzącą do odbiorcy spojrzeć od strony jej wpływu na proces kształtowania świadomości społecznej, to znajdują się w nim bardzo często bity informacyjne zupełnie nie znaczące. Na przykład, kiedy w DTW podaje się nie kończący się strumień informacji, że w miejscowości X, Y, Z otwarto nowe oddziały produkcyjne, to są z reguły informacje nie wzbogacające w sposób twórczy świadomość, a przez ich przekazanie zmarnowano tylko czas informacyjny i nie osiągnięto efektu konstruktywnego.

— Jeżeli informację traktujemy jako czynnik wzbogacający świadomość społeczną, jeżeli informacja ma również — co jest bardzo ważne — kształtować postawy i wpływać na konstruktywne zachowania polityczne, to sposób, w jaki realizujemy te założenia nie zawsze w naszej praktyce odpowiada tym celom.

— Dlaczego?

— Bo w praktyce oceniamy informację z zupełnie innego punktu widzenia. Patrzymy na informację z punktu widzenia „rozjaśniania” warunków realizacji przyjętych celów rozwoju społeczno-gospodarczego (w

Zagapł się w niebo, powoli serwatka podchodziło. A to oznaczało, że gorąca ziemia i niespokojne w górze burzyny miały do siebie sprzeciw. Namawiały się, potem odbiegły od siebie, skryły za horyzont, znowu powróciły, widać już zmówione na burzę.

Chmury przypominały Dawidowi o burakach. Spiekły się dość od gorąca, a z nimi nadzieje na lepszy latoś grosz. Pożyczka geesowska rozeszła się szybko na młockarnię, meble dla córki, najwięcej poszło w cegłę kupioną na lewo w Poznaniu. Kupił tę cegłę, nie bardzo wiedząc na co ją spożytkuje. Tak, na wszelki wypadek, bo okazała się trafiona. Właściwie to miał wszystko: stodołę na betonowej podmurówce, oborę trójdzielną, a chatę to miejscowi nazywali leśniczówką, bo dom był fantazyjnie pomysłany, z krużgankiem i sześcioma szerokimi schodami. Wchodziło się, jak do kościoła. Miał przestronne, czteropokojowe mieszkanie.

Paćnęły mu pod nogami pierwsze, nierówne krople deszczu. Noski kamazy upstrzyły się ciapkami mokrego piasku. Przyspieszył kroku. Zachodząc do nich nie lubił, przemógł się dzisiaj. Człowiek do człowieka przemówić czasami musi, żeby nie wiać jaką zadę nosił w sercu. Powtarzał to sobie często, tyle że nijak to wychodziło w praktyce.

— Ja się pytam, kto on jest?! Tyn parobas... Tyn posraniec na dorobku z mojej krwawicy! Aż przystanął, uświadomiwszy sobie, że krzyczy głośno. Nikogo poza nim nie było na tej wiejskiej, znanej od maleńkości, sierpowskiej drodze. Tędy właśnie szło się do Konar, gdzie teraz mieszkała Grażyna z tym swoim antychrystem!

Dalej rozwidlała się aż do leśmierskiej cukrowni. Do starej, wspomnianej często cukrowni, z którą wiązał się w okresie jesiennym, wożąc buraki i wywołując wylotki w czasach, gdy był na dorobku. Coraz to rzędsze krople deszczu zamieniły się w ulewę. Ciężkie plachty wody zrzucano niebo jakby mszcząc się na człowieku. Wykrzywiło się grymasami błyskawic. Na świecie stało się gorzej od wszystkich pomstowań łączycyckiego proboszcza, któremu w srogości i sam diabeł Boruta nie dorówna. Podniósł kolnierz

marynareczki i wcisnął na oczyma czapkę, patrząc na sieczone zakosami wody pola. Oby tylko dojść do tych przeklętych Konar, spojrzeć w gębę tamtemu i wygarnąć w ślepią: „Tyś jest kawał skurwysyna, lotra spod ciemnej gwiazdy!” Albo lepiej nie. Pomalutku, gadając o tym i owym, wyrabiał delikatnie, co i jak... Cały ból noszony na śledzionie, odkąd pamięta. A pamięta tę sakramentką wódkę! Stawiali na przemian w gospodzie. Po wypróbowanym jeszcze z wojny przyjacielu nigdy by się nie spodziewał, nigdy by Dawid nawet nie pomyślał. Siedzieli naprzeciwko, siebie, niemoc brała ich coraz większa. Pochyleni nad szklanceczkami jak gracze nad partią szachów. Patrząc z boku, zdawałoby się, że się mozoła i marszcza, aby tylko przeciwnika szach uprzedzić i zręcznym podejściem zamatować. Żył wystąpiły na czoło Dawida. Nie odrywając oczu od stołu dzwignął szklanceczkę i przechylając w tył głowę niepewną ręką wlewał w gardło, gdy Wojtek nóż sprężynowy do grdyki przystawił. Jedno słowo tylko wykrztusił: „Oddasz?”

Nikt z obecnych w gospodzie nie pisał, nie poruszył się. Wszyscy znali Kowalika Wojtkę z najgorszych awantur. Jeszcze wyrostkiem był, a już niejednego pobili, poranili. Okoliczne panny na jego widok nerwowo śmiech z trudem dusiły, instynktownie oblapując się za piersi. Bo też i niejednej kłopot taki sprawił, że potem stara Dzierżazna spod lasu długie dni i noce dziewczyny naprawiała. Błade i osłabłe powracały w ójcowskie obejścia, gorzko oplakując chwile uległości.

Dawid uczył, że za chwilę nie już nie zdola powiedzieć, więc stęknął: „Oddam, odczep się”. I musiał czterdziestoletniemu Wojtkowi oddać Grażynę, choć dziecko miało niespełna szesnaście lat. Proboszcz długo odmawiał, ale go dziecień pączek odliczonych na stół przekonało do błogosławieństwa. Ślub odbył się uroczysty, bo rzymski to był ślub. Grażynka z prawej, Wojtek z lewej na kłęcznikach całą sumę przekleźli. Gości to z pół powiatu! Wojtek naspraszal, Grażynka postawna panna i wstydzić się Dawidowi nie potraza za nią. Minęło kilka lat i niby

to wszystko pasowało, odwieczali się wzajemnie, jak to w rodzinie. A nawet sąsiedzi, którzy początkowo gorsząco kręcili głowami, wnet mówić zaczęli, że to właśnie dobrze, bo chłop starszy, to w rozumie i w łóżku dokładniejszy. Pozornie więc nic nie mąciło tej więzi rodzinnej, ale słowa przy widzeniach skąpo padały, oczy uciekały na boki. Rozmowy z wysiłkiem podtrzymywane, gąsły szybko i tylko nikielnie uśmiechy wypelzały przy pożegnaniu. Ulewa pierzchała od nagłej

Z szopy wyszedł Wojtek. W rękę trzymał zarżniętego koguta. Po białym kolnierzu ptaka ściekała krew. Pod stodołą kobieci wiązały marchew w pęczki. Widocznie na targ do Łodzi szykowano towar. Przed stodołą siedzieli: Grażyna, matka Wojtka oraz ciotka Antośka, pochylone nad stertą warzyw. Wiązki zmieniały się szybko w mendle, rosły w kopy, które za porządkiem tworzyły wielką piramidę. Wojtek nie odpowiadając na zawołanie wolno przeszedł z szopy do

na paczkę sportów, tak, że część przy tym rozsypał. Pozbiierał i zapalił zwilżony korniacem sporciaka. Ssać powoli w ustach papierosa dopowiedział chłodno:

— Przyszedłem jak do dzieci. Uśmiechnął się Wojtek na te słowa i też wyjął papierosa z kieszonki na koszuli. Biała biułka przejechała ślady lepkich od krwi palców, nim go przypalił. Wyjął ze skobla metalową zacyzkę. Była to zwisająca na łańcuszku rurka; drugim końcem wkładało się ją w zagięty, grubo pokryty rdzą uchwyt z huftalskiego gwoździa. Gospodarz nie uczynił żadnego gestu, tylko odwrócił się plecami do rozwartej na oścież furtki i stojącego przed nią strapionego gościa. Patrzył na żonę, jakby oczekując, że ona odezwie się do ojca. Grażyna nie podnosiła głowy od roboty. Wiązała słomą grube czerwone paluchy marchwi, opuchnięte jak zreumatyzowane palce wiejskich kobiet.

— Ładna marchew — powiedział Dawid patrząc w plecy żonę. — Po wieła będziesz sprzedawał? — Po czterdziestu półdzie mendel. A kopa sto pięćdziesiąt. Niżej karota nie schodzi. Trza cenę trzymać!

Wojtek odszedł nie oglądając się na teścia i przysiadł się do kobiet. Chwycił marchwie i sprawnie jął wiązać. Dawid z wahaniem wszedł i zatknął za sobą furtkę. Obok kręciły się małe kacuszki, mogły przez furtkę poleźć w szkodę, a nagonić z powrotem nie miałyby kto. Chwilę postać obserwując kacuszki i jakby wreszcie przebarował się w sobie, ruszył do grupki pracujących. Grażyna nie odrywając oczu od roboty cicho poprosiła:

— Niech ta ojciec zostaną na kolacji. A teraz trza wiązać przed zmrokiem.

Rozluźnił się w sobie i przysiadł z boku na piętach. Tak jak i wszyscy zaczął skrecać słomiane wtki i owijać kilkakroć korzenie marchwi, aby na końcu docisnąć tuż przy szyjkach, zawiązać na supel. Pomyślał, że te marchwie to zwielokrotnione głowy Wojtka, tyle że podłużne, z zaciśniętą pętlą wisielecy. Plachta, na którą składano marchew, podchodziła okrajem pod stopy Dawida. Była pomarszczona i brudna, pomazana smolą. Podobną widział

przy figurze św. Bartłomieja, ale nie z brezentu, lecz w drzewie rzeźbioną, jak i cała figura. Był on największym z męczenników, najcenniejszym spośród świętych dla Dawida. Zabijali, męczyli za prawdę! A tu Chrystus nie zamieszkał, jeżeli zezwolił na te małżeńskie kpiny!

— Wojtek! — nagle odezwał się, jakby się ocknął z zamyślenia. — A radzisz ty se z Grażyną? Wydolis?

Wojtek cisnął marchew i skoczył tak, że Dawid pod nim jedno stęknął i już leżał na obie łopatki. Na próżno starał się podgiętymi kolanami zważyć z siebie grubego zięcia. Tarzali się raz w jedną, raz w drugą stronę, utyłani nacią, liśmi i piachem. Cisza ułożyła się dokoła jak wielka kocica, aby skoczyć w momencie największym. Wojtek był wciąż górą. Dobierał się tęścio-sterci do szyi. Otworzył usta ze sterzczącymi krzywo, spróchniałymi zębami w grymasie uśmiechu, czy też dla łapania powietrza.

Aż tu nagle stała się rzecz nie przewidziana ani przez walczących, ani przez Wojtkę, ani przez ciotkę Antośkę. Grażyna, co wpraw jak one biernie się przyglądała zmaganiom, cisnęła trzymaną w rękę wiązkę marchwi na kotłujących się po ziemi chłopów, potem podbiegła i poczęła tuc Dawida po głowie kulakami. Wojtek puścił teścia, wstał z ziemi i patrzył zdumiony na żonę.

— Wyndzisz ty stąd, stary kutwo! Po coś przyłoz? Co ci do mojego? — dogadywała wciąż tłukąc mocno i skutecznie, bo Dawid zniechęcony na ziemi i jakby zmaliał, skurczył się w sobie. Nikt z obecnych nie poruszył się. Tylko słońce, dotąd w czerwieniu się kąpiące, stopiło się w sine nad lasem chmury. Nikt z Wojtkowego obejścia nie ujrzał przemiany, jaka się nad polem marchewkowym dokonywała, bo każdy był swoimi myślami zajęty i umęczony po dniu pracowitym. Pomstująca i tłukąca starego Grażyna też w końcu przy nim padła. Cienie dwa na środku podwórza — córka nad ojcem jak pomsta jaka niebieska. Wiatrem powiało od północy i pierwsza gwiazdka zwiastowała rychłą noc.

ZYGMUNT MARCZEWSKI

MARCHEWKOWE POLE

teczy. Krajobraz zastąpił w oczekiwaniu, jakby po tych polach miała przepacerować Najświętsza Panienna, co w pobliskości kolegiatę tumską zamieszkuje. Dawid zdjął czapkę, strzepnął o nogawkę, nalożył i rozejrzał się. Zbliżał się już do Wojtkowego pola. Wioska Konary brała początek od chałupy Kowalików. Dom z oblapanej, nietynkowanej cegły. Stodoła krzywa, postawiona niedbale. Drewniane ogrodzenie zawieszona jakby w powietrzu, bo paliki spróchniały, jak łamane pieńki w działkach starej Dzierżaznej, najstarszej baby w okolicy, co ze znachorstwa, zielarstwa i odczytania uroków pod malinowym lasem żyła. Wszystko, co znajdowało się w obejściu, świadczyło, że z Wojtka nie gospodarz, ale niedbałuch jest i len, a do tego brudas potworny.

Dawid podszedł od strony małej furteczki wychodzącej na pole. Oparł się o przegnie, pokręcone, mchem zachodzące paliki.

— Wojtek, wyndź no z chaty — jawał.

mieszkania. Tlusty kogut obijał mu się o udo, ledwie utrzymując się na skórze, martwą główką. Krople krwi na ziemi były jak zrzuczone resztki od czerwieni zachodu. Ciotka Antośka, ratując sytuację, odkrzyknęła w stronę Dawida:

— Czemu za opłotkiem wstawasz! Weńdz do mieszkania. Grażynie czekał się przed chwilą, mówiła, że pewnikiem ojciec zańdzie pod wieczór.

Wojtek tymczasem wyszedł z mieszkania i szedł prosto w stronę Dawida. Słońce świeciło mu w twarz zachodzącą czerwienią, a ręce, nie obtarte, czerwienie od twarzy, zwiślały, wielkie i straszne. Stał. Jedyne pokraczny plot dzielił ich i poprzez niego wpatrywali się w siebie, miarkując o przewadze. Przemówił pierwszy Wojtek, przekrawając wolno każde słowo:

— Zagonionys bratku i zmokły. Coś widać, że potrzeba cię jakis gnał...

POEZJA

ANNA CZEKANOWICZ

KTOŚ KIEDYŚ POWIEDZIAŁ

Przychodzą moi przyjaciele dostatni czuli i łagodni ścisną dlonie plotą słowa w muzyce grają uśmiechami Niecierpliwością zaszczuwają i dają żyć ja myślę żyć Są niemagannie zasłuchani w swym opętaniu manią kartek ślinionym palcem przerzucanych Jedzą po troszku nie nie widac spijają tylko kropkę krwi Krztuszą się widzę spazm ich gardel gdy się trącają kieliszkami kiedy butelkę przechylają Mówią specialite de la maison Potem zgubieni w tłumie ludzi w głuchy telefon zamienieni odchodzą moi przyjaciele Mam myślę swój jesienny fart

WALDEMAR CHYLIŃSKI

NIE UCIEKNIESZ

Jackowi Zwoźniakowi

Ludzie naszej Ameryki Albo każdej innej ulicy tego miasta Bywają czasem głodni ciepłego domu Nie pomoże im wtedy uniwersalność sztuki Ani szybka autostrada

Po zamknięciu oczu wcale się nie ucieka Po zatknięciu uszu wcale się nie ucieka Po zatknięciu gardła wcale się nie ucieka

Dopiero potem... Gdy ciało zaczyna pachnieć ziemią

grudzień 1976 r.

ZBIGNIEW JOACHIMIAK

SIEDMIOLETNIA MATKA

Jeszcze nie przyszła godzina rozliczeń i jeszcze ciało myśli nie słucha a już bezpieczna siedmioletnia dziewczynka przed lonem swoim kłęką i cudzego ze swojego pulsu nasłuchuje

Jeszcze nie przyszła godzina zrozumień i myśl jeszcze ciała nie rozumie a już ostropiersna siedemnastoletnia dziewczyna przed mężczyzną kłęką i swojego w obcym ciała oczekuje

Jeszcze nie przyszła godzina uśmiercen i ciało z myślą o jedni swą walczą i już ciepłopiersna dwudziestosiedmioletnia kobieta rozumie że umiera w cudzym ze swojego narodzenia

i brzuch obserwuje

JERZY HENRYK KAMROWSKI

DLA NIEJ

Gdyby nie było tych ludzi przynoszących czasem pod swetrem wstydlivy bukciecik i spojzenie

z pośpiechem na miłość która musi być zawsze naga i ostrożna chociaż niekoniecznie przygotowana do snu raczej do odjazdu jak zarezerwowany przedział z wiecznie niedomkniętym oknem więc gdyby tych ludzi nie było we mnie nigdy nie odważyłbym się napisać główki dziecka ani innych wierszy które mają w sobie coś z twojej wdzięczności

WŁADYSŁAW ZAWISTOWSKI

ZAPISKI Z RAJU DŁUGOWŁOSYCH

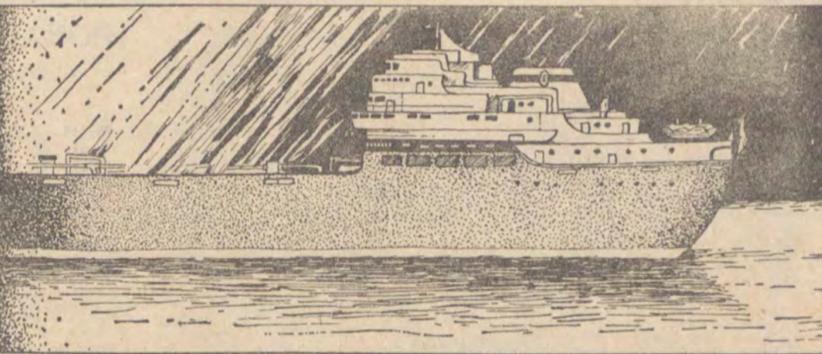
Ryškowi R.

I z kim tu rozmawiać o miłości Długowłosi Piją nocami piwo W przerwach między wzlotem a upadkiem grywają w brydża, W ich oczach tli się lampka oczekiwania koci niepokój niekochanych. Nad dachami unosi się balon księżycy. Jest cicho. Tylko trąbka daleka gra bluesy nieszczęśliwym długowłosym. Przez otwarte okno napływa majowy słowik niosąc w łapkach westchnienia zakochanych.

Można więc zagłębić się w obłok dymu w synkopę perkusji Lecz z kim tu rozmawiać o miłości Długowłosi piją nocami piwo i Nigdy nie zstępuje do nich dymu święty Jimmy Hendrix Tylko blues dalekiej trąbki gwałci słowika Maj jest okrutny gdy ulicami szeroka powodzią idzie miłość. I z kim tu... Nawet ty Jimmy nie wiesz jak ciężki może być kamień serca...

MAJ 1975

alarm na morzach świata



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Niepokoimy się coraz gwałtowniej rosnącym zanieczyszczeniem rzek i jezior. Horst Bieber w tygodniku „Die Zeit” z 21. I. 1977 r. ukazuje nowe niebezpieczeństwo. Poważne i też stale rosnące zanieczyszczenie mórz i oceanów. To już nie żarty — twierdzi autor — skoro ropę naftową znajduje się aż na morzach arktycznych, gdzie nie pływają tankowce.

Kapitan Papadopoulos, zdenerwowany i przemocowany, co chwila skubał wąsa. „Bez komentarzy, bez komentarzy” — mruzczał, ale to nie wystarczyło, żeby pozbyć się upartego nowojorskiego dziennikarza.

— W jaki sposób tankowiec kapitałana „Argo Merchant”, 15 grudnia 1976 r. męł wejść na mieliznę u wybrzeży wyspy Nantucket, po zbieżeniu z kursu o przeszło 15 kilometrów? Co kapitan powie na fakt, że z przełamanego na pół wraku wypłynęło około 29 milionów litrów ropy naftowej i pokryło grubą warstwą cenne łowiska, przesuwając się wraz z Golfströmem? Jakże jest jego stanowisko wobec żądań rybaków o odszkodowanie wynoszące około 60 mln dolarów?

Kapitan Papadopoulos wytyczył umysł i znalazł klasyczną odpowiedź:

— Złoczyliśmy z kursu.

Jego interlokutorów zatkało na moment. Jeden z nich odzyskał wreszcie mowę i spytał:

— Celowo czy przez pomyłkę? Ale grecki kapitan zniknął już za drzwiami.

Na to ostatnie pytanie nie ma na razie odpowiedzi; spróbuje jej udzielić sąd. Fakt, że je postawiono, dowodzi jednak raz jeszcze, jak złą opinię mają te tankowce, które, jak „Argo Merchant”, pływają pod tanią flagą Liberii. Nie ma ona ani jednego portu naturalnego, ale za to największą flotę handlową na świecie: 2.518 jednostek, w tym 945 tankowców. Podobnie Panama, gdzie przestraszone północnoamerykańskie władze Kanału Panamskiego po raz pierwszy nie pozwoliły na jego przepłynięcie greckiemu tankowcowi ze względu na brak z zakresu bezpieczeństwa oraz widoczne przecieki. Od połowy grudnia 1976 roku te tankowce dziesięciokrotnie były czolowym tematem prasowym w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, u których wybrzeży w ciągu czterech tygodni, zgodnie z fatalnym prawem serii, do szło dwadzieścia razy do katastrof statków przewożących ropę naftową.

PRZERAŻAJĄCE FAKTY

15 grudnia 1976 r.: liberyjski „Argo Merchant” wszedł na mieliznę. Nie działały elektroniczne urządzenia nawigacyjne, nie działał echolot, który powinien był ostrzec o płytkich Nantucket oraz żyrokompas. Wskazania kompasu magnetycznego też podobno były niedokładne. Natychmiast jednak pojawiło się również podejrzenie, iż „Argo Merchant”, aby zaoszczędzić na czasie, celowo poszedł zakazanym skrótem przez przybrzeżne, aby w porę, z przypiwem, wejść do portu w Salem.

17 grudnia 1976 r.: eksplozja liberyjskiego tankowca „San Sina” w porcie Los Angeles. Dziewięću zabitych, około 50 rannych.

24 grudnia 1976 r.: awaria liberyjskiego tankowca „Oswego Peace”; z tankowca spuszczono do rzeki Thames (stan Connecticut) 10.000 litrów ropy.

27 grudnia 1976 r.: „Olympic Games” (Liberia) wchodził na mieliznę na rzece Delaware koło Filadelfii, tracąc przy tym przeszło 500.000 litrów ropy.

29 grudnia 1976 r.: „Daphne” (Liberia) ociera się o mieliznę u wybrzeży Puerto Rico; ropa nie wycieka.

30 grudnia 1976 r.: „Grand Zenith” (Panama) z 38 ludźmi załogi i 30 mln litrów (ok. 27.000 ton) ropy znika u wybrzeży Nowej Szkocji (Kanada). W kilka dni później zostają znalezione szczątki wraku; zdaniem ekspertów, statek mógł zatonać podczas silnej burzy i może leżeć, nie uszkodzony — jeszcze! — na dnie, na głębokości 2.000 m.

4 stycznia 1977 r.: „Universe Leader” (Liberia) wchodził na mieliznę na Delaware; nie ma wycieku ropy.

7 stycznia 1977 r.: „Barcola” (Liberia) wpada na mieliznę w wybrzeży Teksasu. Statek z ładunkiem 42 mln litrów ropy udaje się później ściągnąć z mielizny.

8 stycznia 1977 r.: eksplozja na „Mary Ann” (Liberia) podczas czyszczenia zbiorników; wybuch pożar, wielu marynarzy zostaje rannych.

8 stycznia 1977 r.: w porcie Corpus Christi w Zatoce Meksykańskiej SO „Castellon” (Panama) zrywa się z kotwicy i wpada na mieliznę. W parę dni później udaje się go ściągnąć.

Jedenasty raz tankowce znalazły się na pierwszych stronach gazet z przyczyny statku amerykańskiego: 5 stycznia 1977 r. z „Austona” wypłynęło do Zatoki San Francisco 10.000 litrów ropy. Zaś 10 stycznia 1977 r., 13 km przed Cape Ann (Massachusetts), przełamał się na dwie części amerykański tankowiec „Chester A. Polling” statek na szczęście nie wioził ładunku.

CZY NIE MA POWODÓW?

Guy Maitland, sekretarz generalny „Liberian Shipping Council”, z siedzibą w Nowym Jorku, 103 Park Avenue, nie widzi mimo to powodu do zaniepokojenia. Katastrofy tankowców zdarzają się zawsze, a ponieważ w Liberii zarejestrowanych jest szczególnie wiele tankowców, to i o awariach statków pod flagą liberyjską „czyta się szczególnie często, a także szczególnie chętnie”. Albowiem statki odpowiadające amerykańskim normom bezpieczeństwa kosztowałyby dwukrotnie więcej niż te, które odpowiadają normom liberyjskim; na statkach pod flagą amerykańską związki zawodowe przeforsowały o wiele wyższe płace; ponieważ przy tym statki Liberii nie podlegają wysokim amerykańskim podatkom, trzeba się liczyć — Mr. Maitland zrobił tylko aluzję na ten temat — z potrojnym frontem propagandowym: władz skarbowych, przemysłu i związków zawodowych przeciwko „tanim flagom”.

Guy Maitland zbyt sobie ułatwił sprawę. Statystyka wypadków wykazuje bowiem, że katastrofy statków pływających pod taniymi banderami zdarzają się z ponadprzeciętną częstotliwością.

Marynarze zawsze porównywali statki z kobietami; jeden z dowódców opowiadanych na tankowcach brzmiał: „Obchodź się ze statkami, jak z kobietami, bo mogą eksplodować, i strzeż się przed starymi”. Statki trzeba nieustannie konserwować. Odbijanie rdzy i malowanie, tylekroć opisywane we wszystkich historiach o pasażerach na gape, jest tylko częścią tej dbałości. Tłaszy starzeją się, aparaturę radiową trzeba wymieniać na nowszą. Węże przeciwpożarowe parcieją, wiatr i wilgoć nadwerężają szalupy ratunkowe.

W tankowcach siarka, zawarta w ropie naftowej, przeżera ściany, falowanie morza nadweręża kil i wręgi. Statki pływające pod poważnymi banderami muszą co 24 miesiące uzyskać świadectwo przydatności do pływania, ale po sześciu — siedmiu latach niejedyn statek nie odpowiada już tym wymaganiom. Powstaje wówczas kwestia, czy go przeznaczyć na złom czy sprzedać. Na niektórych tankowcach wciąga się wówczas flagę Liberii lub Panamy, gdzie nie bierze się tych spraw tak poważnie.

Oszędnosc posuwa się jeszcze dalej. Na rozprawach przed sądami morskimi wychodziły już na jaw wręcz groteskowe stosunki. Np. na południu tankowca, który uległ katastrofie, znajdował się tylko jeden oficer-nawigator, radar i radio nie działały, żyrokompas wyzionął ducha, kompasu magnetycznego nie wyrównano po przebudowie statku i jego wskazania były błędne. Pompy strażackie nie dawały się uruchomić,

było zbyt mało węży, szalupy ratunkowe były niedostatecznie wyposażone. Nie trzeba chyba wspominać, że oszczędzono również na załodze, która była źle wyszkolona (albo wcale nie), źle żywiona i źle płatna.

Pewien brytyjski fachowiec wyraził to krótko: „Większość tankowców jest w porządku, ale te, które nie są w porządku, są tym gorsze”. W jednym z amerykańskich raportów na ten temat czytamy:

„W dziewięciu wypadkach na dziesięć decydującą rolę odgrywa ludzka niedbałość... Większość katastrof statków można by uniknąć, gdyby dowództwo statku przestrzegało odpowiednich przepisów”.

To jednakże kosztuje, a minęły już czasy, kiedy wielki tankowiec amortyzował się po czterech rejsach. Konkurencja zastrzyła się i około 500 tankowców o pojemności przeszło 200.000 ton szuka zamówień. W Zatoce Gelting na bałtyckim wybrzeżu Szezwiku-Holszyna stoi bezczynnie na kotwicy kilka wielkich tankowców — niektóre z czyszczeniowymi zbiornikami, ponieważ nigdy jeszcze nie załadowano ich ropy — prosto ze stoczni sprowadzono je tu do zatoki. Na klifowych skałach francuskiej wyspy Quessant leżą szczątki supertankowca „Olympic Bravery”, który rozbił się tam 24 stycznia 1976 roku, podczas swego dziewiczego rejsu — znajdował się w drodze na ementalny tankowiec w jednym z norweskich fiordów. Utrzymuje się uprzywilejowana pogłoska, że ten ubezpieczony na wysoką sumę statek nie szedł z kursu przypadkowo, że katastrofy nie spowodowały uszkodzenie turbin i zerwanie się ławca kotwicznego.

Choć i to wydaje się możliwe. Po wojnie na Bliskim Wschodzie w 1958 roku i czasowym zamknięciu Kanału Sueskiego statki musiały pływać dłuższą, a więc droższą trasą wokół Przylądka Dobrej Nadziei. Aby obniżyć koszty, budowano coraz większe tankowce. Ale i to nie wystarczyło: przy jednym ogniu chciano upiec dwie pieczenie. Po co podwójne dno czy podwójne ściany, kiedy pojedyncze też wystarczą; po co dwie maszyny, kiedy i jedna jest dobra. Statki, które potem w konkurencyjnym wysiłku stoczni schodziły z pochylni, przypominały aż za często ciężkie zespawanych ze sobą pojedynczych zbiorników plus maszynownia plus pomieszczenia dla coraz mniej liczebnej załogi. Cierpiąca na tym niekiedy również dokładność budowy. Spawy pękały po kilku rejsach, nity puszczały, wręgi były skrzywione lub nie połączone z poszyciem, zapomniano o naprężeniach.

TE WIELKIE TANKOWCE

Późno, bardzo późno inżynierowie zadali sobie pytanie, czy trzydziestomilimetrowa blacha, dobra na mniejsze statki, nadaje się również do budowy gigantów. Laikowi supertankowce wydają się, wskutek swych wielkich wymiarów, szczególnie stabilne i pewne, ale rzeczywistość wygląda inaczej. Mały statek może unosić się na nadpływających falach; tankowiec, który, jak góra lodowa, większą część wagi niesie pod wodą, jest zbyt ciężki, by z każdą falą podnosić dziób. Cały napór wody musi wychwytywać konstrukcja — dziób i rufa wypchane są w górę na grzbieciech fal, środkowa część statku zapada się w dolinę fali. Załoga na mostku — 40 metrów nad linią wodną, 250 metrów od dziobu — traci często wycucie sił, z którymi walczą przednią część tankowca. Znana jest historia pewnego supertankowca, który zderzył się z kutrem rybackim i zatopił go, a załoga nie nie zauważyła; kapitan dowiedział się o tym w dwa dni później z gazety.

W końcu też tankowce, jak wszystkie pojazdy użytkowe, przynoszą pieniądze tylko wówczas, kiedy pływają. Eksploatowane są niemilostnie, aż do chwili, gdy nastąpi uszkodzenie jednej, wysoce skomplikowanej maszyny, i w ciągu paru minut kolos zamienia się w beładnie dryfującą bombę zegarową, która w pewnej chwili wpada gdzieś na mieliznę.

Ale i nieuszkodzony statek z 400.000 lub 500.000 ton ropy w zbiornikach

stanowi groźbę. Aby go zatrzymać, potrzeba całych kilometrów i wiele kunsztu marynarskiego, aby nie zejść przy tym z kursu. Również trudna jest szybka zmiana kierunku; te ogromne statki odczuwają już wyraźny obrót ziemi — zgodnie z kierunkiem obrotu skracają się, wbrew niemu wolniej. A jeśli potem, jak w wypadku „Torrey Canyon”, który w 1967 roku wszedł na skały Seven Stones w Kanale La Manche, okaże się, że kapitan od przeszło roku nie schodził z pokładu i miał gruźlicę, nasuwa się oczywiście pytanie, czy o tankowce dostatecznie dba się podczas rejsów, czy wszyscy armatorzy zdają sobie dostatecznie dobrze sprawę z niebezpieczeństw, wiążących się z tymi statkami. Inaczej bowiem niż tonący frachtowiec albo eksplodujący rudowłowiec, tankowiec, który uległ katastrofie, zatrwa środowisko naturalne ropą naftową — rozkłada się ona w wodzie niezwykle powoli, zbija się w grudy, uśmierca faunę i florę morską — nie tylko ryby jadalne, ale i świat roślinny egzystujący w pobliżu powierzchni wody i produkujący tlen, tak ważny dla życia.

ROPA NAFTOWA NA MORZU

Gwoli uczciwości trzeba jednak powiedzieć, że w wyniku awarii i katastrof wycieka tylko ułamek tych pięciu milionów ton ropy, która co roku w sposób niekontrolowany dostaje się do mórz i oceanów. Również inne statki borykają się z problemem, jak pozbyć się ropy, która dostała się do wody, używanej do mycia ładowni. Zgodnie z przepisami — w najbliższym porcie przez przepompowanie na specjalne statki — zbiorniki starej ropy. Z drugiej strony normalne frachtowce nie mają specjalnych problemów z ropy, których zbiorniki trzeba płukać na pełnym morzu, aby przed ponownym ich napełnieniem usunąć starą ropę. Od strony technicznej zadanie to zostało rozwiązane: wodę po umyciu wnętrza tankowca gromadzi się w specjalnych zbiornikach, ropa, jako lepsza, zbiera się na powierzchni, wodę się wypuszcza, a resztki ropy przepompowuje się i pali na ładzie. Są jednak i tacy kapitanowie tankowców, którzy śpieszą na pomoc uszkodzonym statkom tylko dlatego, by wypływającą z nich ropą uzupełnić braki w własnych zbiornikach, powstałe wskutek przecieków. Coraz częściej też na pełnym morzu spotyka się plamy ropy niewiadomego pochodzenia. Nieodpowiedzialni — albo też niedostatecznie poinformowani kapitanowie działają zgodnie z motto: „Gdzie nie ma świadków, tam nie ma i sędziów”.

Świadomość niebezpieczeństw płynących z zanieczyszczenia mórz ropą naftową nie jest jeszcze zbyt żywa. Opinia publiczna denerwuje się na ogół tylko wówczas, gdy ropa zanieczyszcza wybrzeża i plaże, gdy — jak w ciągu minionych czterech tygodni w Kanadzie i USA — tankowce rozbijają się w pobliżu lądu. Noł Mosterl w książce „Supertankowce” zestawił przed dwoma laty ponure przepowiednie uczonych: jesteśmy na najlepszej drodze do zrujnowania mórz. Wzdłuż głównych tras przewozu „czarnego złota” zanieczyszczenie można dosłownie uchwycić rękami — całymi kilometrami ciągną się pola grud ropy i smoly. Sytuacja staje się krytyczna, gdy ropa pojawia się w rejonach, gdzie nie pływają tankowce, np. na wodach Antarktydy, zaniesiona tam przez prądy, którymi do tej pory się nie interesowano. W morzach wokół bieguna południowego żyje jednak kryl, zdaniem wielu ekspertów ostatnie wielkie źródło białka w przetworzonych z ryb morzach i oceanach.

Tymczasem z pochylni spływa następna generacja transporterów energii: specjalne statki do przewozu gazu ciekłego, które tym razem rzeczywicie są pływającymi bombami — jak dotąd błędnie nazywa się tankowce. Po pierwszej eksplozji takiego statku narody morskie zasiają może nareszcie przy stole konferencyjnym, by podjąć dawno już konieczne decyzje: lepsze i bezpieczniejsze statki z lepszą i bardziej odpowiedzialną załogą.

Książkę Jerzego Marii Smotera pt.: „Spór o „listy” Chopina do Deliny Potockiej”, która ukazała się właśnie (1976) — już po śmierci jej zasłużonego Autora — w drugim, znacznie poszerzonym i zaktualizowanym wydaniu, powinien przeczytać dokładnie każdy, kto się spობi do zawodu historyka, i to jeszcze u progu swoich studiów. Jest to niezmiernie rzadkie w naszym naukowym piśmiennictwie studium fałszerstwa: analityczne, wszechstronne, zgodne z wszelkimi rygorami naukowego myślenia. W obecnej edycji książka J. M. Smotera obejmuje również ostatni, głośny etap dyskusji w sprawie autentyczności „listów” Chopina, spowodowany serią wystąpień bardzo energicznego, niezjadającego już dziś obrońcy ich autentyczności, Mateusza Głińskiego. Przypominamy sobie te rozgłośnie polemiki, jakie rozgorzały na nowo w 1973 r.; pamiętamy niesmaczny krok redakcji jednego z poważnych warszawskich tygodników, który angażując się w dyskusję po jednej stronie, odmówił na swych łamach miejsca dla wypowiedzi dyrektora Towarzystwa im. Fryderyka Chopina oraz jednego z najwybitniejszych znawców przedmiotu, znakomitego edytora pism C. K. Norwida.

Wszystko to mamy teraz zebrane w jednym, zgrabnym tomiku, porządnie ułożone, zreprodukowane i oczywiście — skomentowane. W książce J. M. Smotera znalazły się bowiem nie tylko fotokopie rzekomych autografów i teksty rzekomych listów Chopina. Nie brakło w niej miejsca dla publikacji Ekspertyzy Nr ZKE-P-2871/74, opracowanej przez Zakład Kryminalistyki KG MO w Warszawie, opatrzonej datą 20 listopada 1974 r. oraz arcyważnej „Tablicy Pogładowej”, stanowiącej załącznik do wspomnianej ekspertyzy, datowanej o jeden dzień wcześniej.

Sprawa na obecnym etapie badań zdaje się nie podlegać już najmniejszej wątpliwości, choć zapewne znajdzie się jeszcze niedjedni maniak, gotów oddać życie w obronie autentyczności rzekomych listów. Falsyfikaty mają bowiem to do siebie, że nie mogą być rzeczami obojętnymi. Rodzą się w określonym klimacie, bez którego nie mogłyby powstać. Z całą pewnością nie byłoby „odkryć” pani Pauliny Czernickiej, gdyby nie zataczający coraz szersze kręgi kult F. Chopina, rozciągający się nie tylko na jego muzykę, ale i osobę. Tak samo nie byłoby „odkrycia” w Stanach Zjednoczonych tak zwanej „Mapy Winlandzkiej”, gdyby... nie swoiste zapotrzebowanie niektórych mieszkańców kontynentu amerykańskiego na... legitymację z dawności.

Historyk kartografii z Krakowa, dr Edward Schnayder, zechciał mi uprzejmie nadać odbitkę swojego artykułu z „Polskiego Przeglądu Kartograficznego” za rok 1975 (tom VII, nr 4), zatytułowanego: „Mapa Winlandu — fałszerstwem stulecia?”. Z pracy tej wynika niedwuznacznie, że owa rzekomo bardzo starodawna mapa, mająca pochodzić jakoby z czasów przedkolumbijskich, a pokazująca między innymi fragment Ameryki Północnej, odkrytej na pięćset lat przed Kolumbem przez skandynawskich Wikingów, jest wyciecznym fałszyfikatem. Analiza chemiczna atramentu „oryginału” wykazała bowiem, że „pochodzi on z okresu po 1917 r. (!), gdyż zawiera pigment anataz (związek dwutlenku tytanu)”, który wcześniej nie był jeszcze znany.

Sprawa ta była w krajach anglosaskich akurat tak samo głośna, jak u nas rzekome „listy” F. Chopina. W związku z tą — jak ją określa E. Schnayder — „kolosalną” popularnością mapy, zrodziły się różne dowcipy. Krakowski badacz przytacza jeden z nich: „Lakoniczny rysunek satyryczny z angielskiego „Daily Telegraph” z 18 stycznia 1974 r., przedstawia dwóch panów, stojących przed gmachem uniwersytetu w Yale i trzymających gazetę z nagłówkiem „Mapa Winlandu”. Jeden z nich zwraca się do drugiego: „Niektórzy eksperci sądzą obecnie, że przedstawia ona wczesne podróże Henry Kissingera”.

Nie zadržymy Anglosasom poczucia humoru. Wybitna znawczyni epoki Wielkiej Emigracji, od niepamiętnych czasów zamieszkała w Paryżu, zapytana przed paroma laty przez znakomitego francuskiego muzykologa Bernarda Gavoty — autora znanej we Francji książki o F. Chopinie — o autentyczność kontrowersyjnych „listów”, odpowiedziała — i to do mikrofonu: „Ależ drogi panie, toż są to autentyczne listy pani Pauliny Czernickiej do Chopina! Ona była w nim chorobliwie zakochana”. Jest w tym nie tylko dowcip, ale i celna obserwacja. Rzekome listy są przecież fałszerstwem z bardzo słowistej... miłości.

KONDEK

Wystawa Wacława Kondka, duża retrospektywa w galerii BWA przy ul. Wólczańskiej, była zaskoczeniem dla wszystkich (licząc nawet zagorzałych przyjaźni jego twórczości). Ogromna różnorodność form — od malarstwa sztalugowego, grafiki, rysunku do scenografii, ceramiki i projektów lalek — jedynie potwierdziła, że zmarły przed rokiem artysta był jednym z najbardziej wszechstronnych i poszukujących. Tym dotkliwiej będzie Go brakowało.

Zaskoczeniem był nieznaną prawie nikomu etap poprzedzający Kondkowsy styl; długi okres malarstwa doświadczeń i kolorystycznych studiów. Obrazy z lat 50-tych nie odbiegały wcale od nurtu poszukiwań „Grupy Krakowskiej”, czy artystów wystawiających w Arsenale. Łódzki artysta nie poszedł jednak „dalej” — lecz w zupełnie innym kierunku; ten klucz do rozumienia sztuki Kondka pokazała dopiero wystawa przygotowana starannie przez żonę artysty, oparta na zbiorach rodzinnego archiwum, kilkunastu przyjaciół i paru galerii.

W artystycznej biografii Kondka był przełomowy, jak się okazało, moment pracy nad animowanym filmem „Ondraszek”, potem liczne wyjazdy do Bidaczowa. Wciągnął go bez reszty klimat ludowego mistycyzmu, pół-biologicznej mitologii z diabłami, dziwocznymi i gadającymi drzewami na czele. Między „młodopolskim”, ekspresyjno-zakopiańskim — jak w drzeworytach Skoczylasa czy w graficznych „portretach” chłopskiej nędzy Tadeusza Kulisiwicza — odczytywanym folkloru a sentymentem łódzkiego artysty nie było istotnej różnicy; Kondka mocno zafascynowała baśniowość, śpiewność, melancholijna ekspresja znaleziona w twórczości ludowych artystów, strugających chłopskie demony. Naiwna personifikacja wyobrażeń o zaludniających świat ludowego twórcy strachach i duszkach fascynował go równie silnie; spotykał się z jego własnym liryzmem i mistycyzmem. Pracowicie zapelniane arkusze, blachy i deski również służyły pozbyciu się wszystkiego, co (jak sam określał) „wylało na wyobraźnię”. Fascynacja Kondka miała wszelkie cechy uczucia od pierwszego wejścia — gwałtowne, silniejszego nad instynkt podążania za wszelką ceną za modą.

Artysta głęboko wierzył, że zdolną tę fascynację przenieść na innych ludzi; nie mógł pogodzić się z niewrażliwością czy obojętnością wobec tradycji, uważanej przez niego za niewyczerpane źródło. Poblazliwa tolerancja zawodowego środowiska rozdziła nieufność, czasem przekorę wobec zobojętniałego świata, który można było zamknąć w pokracznie kształty pseudoludowych karykatur.

Myszę, że Kondkowi zazdrościono trochę łatwości nawiązywania kontaktów z widzem lub czytelnikiem — potrafił być również uroczym, swobodnym gawędziarzem — posiadano o łatwe podporządkowanie się snobistycznej, ikonowej modzie. Mało kto rozumiał, że u podłoża Kondkowego stylu znalazła się przede wszystkim potrzeba opowiadania o sobie i własnych inspiracjach. Artysta wierzył chyba, że sztuka może zmieniać ludzi, albo przynajmniej im pomagać — jak pomagała jemu. Problem sprowadzał się w gruncie rzeczy do kwestii uczciwości wobec osobistej, specyficznej prawdy o sztuce.

Styl Kondka zbyt dobrze jest w Łodzi znany, by trzeba było analizować czy przybliżyć jego twórczość. Z nieodległej perspektywy czasu trudno rozstrzygać, czy ta sztuka może być konkurencyjna wobec dzisiejszych odmian metaforyki; wystarczy, gdy na razie potraktujemy ją jako całkowicie swoiste zjawisko. Na jej korzyść świadczą chyba to, że mało kto nie miałby „w oczach” owych śpiewających młynów, gadających chalup, Don Kichotów na wiejskiej szkapie — całego kosza motywów, zasianych tak, że choćby diabełki Boruty spod Łęczycy nie sposób wyobrazić sobie inaczey niż on to widział. Również architektoniczne rysunki łódzkich zabytłych instynktownie odgadywały kluczowe momenty wyrazu budowli, „parlament” — opowiadającej swoją zewnętrzną formą lub detalem o intencjach budowniczego i mentalności właściciela.

Płynąca z głęboko osobistych pobudek sztuka jest zaskoczeniem. Konsekwencja i wierność samemu sobie budzi niedowierzające zdziwienie. Właśnie dlatego nie waham się nazwać wystawy twórczości Wacława Kondka wydarzeniem. Co więcej — jestem pewien, że perspektywa czasu jedynie podniesie jej wartość.

A.M.



P. N. Menten w mundurze SS-Untersturmfuehrera w 1941 r.
Foto: „Der Stern”

Już od wielu miesięcy uwagę prasy zachodniej przyciąga sprawa holenderskiego milionera, Pietera Nicolaasa Mentena, b. oficera SS. Podczas drugiej wojny światowej uczestniczył on bezpośrednio w masowych egzekucjach Polaków i obywateli polskich pochodzenia żydowskiego oraz brał udział w masowych zabójstwach obywateli radzieckich na terenach okupowanych przez hitlerowców.

W 1950 roku ministerstwo sprawiedliwości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wystąpiło o ekstradycję Mentena, podejrzanego, iż w okresie okupacji hitlerowskiej w Polsce brał udział w masowych egzekucjach obywateli polskich, a głównie, że w miejscowości Urycz koło Strzysa, w sierpniu 1941 roku, przy pomocy SS i polskiej hitlerowskiej dokonał egzekucji około 180 Żydów, obywateli polskich. Wniosek o ekstradycję rząd niemiecki zajął, niestety, odmownie.

22 maja 1976 roku amsterdamska gazeta „De Telegraaf” zamieściła informację o mającej się odbyć aukcji 420 dzieł sztuki z kolekcji Mentena, w amsterdamskiej galerii van Waaya. Doniesienie to przeczytał w Tel Awiwie Chawiw Chanaan, który uprzednio nosił nazwisko: Liber Krumholz. Chanaan znalazł Mentena w latach trzydziestych, kiedy mieszkał w Podgorodcach (wschodnia Galicja), i łączyli ich bardzo zażyłe stosunki. Gdy w 1935 roku Krumholz wyemigrował do ówczesnej Palestyny, w pierwszej kartce, którą przysłał do rodziny prosił o serdeczne pozdrowienie Mentena.

Imigranci izraelscy już w 1944 roku opowiadali mu o bezpośrednim udziale Mentena w masowych egzekucjach Żydów. Od tego czasu Chanaan zaczął gromadzić materiały o Mentenie. I oto niedawno ten 60-letni dziennikarz przekazał cały obciążający Mentena materiał swemu koleżdzie w Amsterdamie — Hansowi Knoopowi. Ten skierował sprawę do sądu. Aukcję odłożono wskutek masowych protestów wielu kombatanckich organizacji holenderskich, które uznały Mentena za zbrodniarza wojennego. Wynikły też wątpliwości co do sposobu, w jaki Menten zdobył obrazy i inne dzieła sztuki.

Sięć wokół Mentena zaczęła się zaciśkać coraz mocniej. W tych okolicznościach, w niedzielę 14 listopada 1976 roku 77-letni Pieter Nicolaas Menten, multimilioner, kolekcjoner obrazów i cennych dzieł sztuki, często unikalnych, uciekł z Holandii w niewiadomym kierunku. Wiedział, że w poniedziałek rano przyjdzie do niego policja, żeby go aresztować. Jak się przypuszcza, uprzedził go o tym jego holenderscy przyjaciele, podobnie jak on, zamieszani w zbrodnie wojenne i dotąd przyczajeni na uboczu. Treść dokumentu, na mocy którego wydano nakaz aresztowania brzmiał: „Pieter Nicolaas Menten jest podejrzany o to, że latem 1941 roku brał udział w rozstrzelaniu około 120 osób...”

Menten ukrył się w małym szwajcarskim miasteczku Uster. Jego ślad odnalazło dwóch dziennikarzy: Holender i Szwajcar, oni też udzieliłi policji pomocy w aresztowaniu go. 22 grudnia 1976 roku rząd szwajcarski przekazał Mentena władzom holenderskim. We wstępnym śledztwie Menten zaprzeczył wszystkim zarzucanym mu zbrodniom, nie jednak nie może zaprzeczyć wymowia faktów.

Interesujący materiał dotyczący

szczegółów zbrodni Mentena zamieścił hamburski tygodnik ilustrowany „Der Stern”.

1. W latach trzydziestych we wsi Podgorodce w zachodniej Ukrainie, w sadzie Izaaka Plistynera bawiła się każdej soboty spora gromadka dzieci. W domu tego zamordowanego żydowskiego kupca i właściciela zbierali się krewni przyjaciele i sąsiedzi. Miałych dziesiątki lat. W końcu października 1976 roku radziecki żołnierz wykradł w sadzie Plistynera zbiorowy grób. Omylił i ułożył stos ludzkich kości. Grupa sądowno-lekarskich ekspertów pod kierownictwem profesora Władimira Zielengierowa, naczelnego anatomopatologa Lwowskiego Instytutu Medycyny, wykryła otwory od pocisków w 120 czaszkach, łopatkach i kościach miednicy. Grób odkopano w obecności mieszkańców wsi, obserwujących w milczeniu pracę żołnierzy oraz pewnego holenderskiego dziennikarza. To na jego prośbę generałny prokurator Związku Radzieckiego, Roman Rudeńko, główny oskarżyciel z ramienia ZSRR na Procesie Norymberskim, zarządził ekshumację zwłok. Po ceremonialnej żałobnej szczytliwie złożono do grobów.

W 1923 roku, mając 24 lata, na teren Galicji przyjechał z Holandii niejaki Pieter Nicolaas Menten, człowiek młody, a już wiele obrotny i bardzo zamożny handlowiec. Od księżnej Marii Lubomirskiej kupił 4 tysiące hektarów ornej ziemi i lasów, a także tereny zasobne w naftę. Nieco później nabył Menten w Krośnie rafinerię nafty. Poza tym posiadał w Polsce cukrownię, wytwórnię krochmalu i fabrykę zapalek. Rosnące kapitały zaczął obracać na kupno obrazów i antykwarycznych dzieł sztuki. W tym czasie był często w wsi Podgorodce koło Bolesławia, w okolicy miał swoje lasy. Tam poznał Izaaka Plistynera i był częstym gościem w jego domu. Nieraz dokonywali wspólnie transakcje handlowe. Jednak szczególnie bliskie stosunki łączyły holenderskiego handlowca ze wspomnianym już na początku Liberem Krumholzem. Mieszkańcy wsi Podgorodce, jak również okolicznych wsi dobrze znali Mentena z widzenia.

2. JEŚCIEŃ 1939 ROKU Armia Czerwona wkroczyła do wschodniej Galicji. Menten wraz z holenderskim konsulem we Lwowie, jego żoną i matką wyjechał do okupowanej przez Niemców Polski. Waga jego bagażu nie przekraczała 75 kilogramów. W Krakowie Menten powierzył konsułowi, że nie chce wracać do Holandii. Konsul, Jakub Jan Brun, był niewymownie zdumiony, widząc jak na dworcu kolejowym Menten witał niemieckich wartowników hitlerowskim „Heil Hitler!...”

W Krakowie Menten bardzo szybko stanął na nogi. Holenderski konsul w Polsce, de Breun, zaproponował mu stanowisko zastępcy dyrektora w swojej fabryce przerobu ryżu w Krakowie. Wkrótce potem Menten miał już mieszkanie i biuro, nazywał siebie „ekspertem” i „doradcą ekonomicznym”. Miał doskonałe kontakty z hitlerowskimi władzami okupacyjnymi.

Najbardziej zażyłe stosunki łączyły go jednak ze Standartenführerem SS, Eberhardem Schengartenem, który od stycznia 1941 roku pełnił funkcję szefa służby bezpieczeństwa w GG. Kiedy latem 1941 roku wojska hitlerowskie napadły na Związek

ROMAN WŁODEK

KOLEKCJONER

Radziecki, Menten — znając język ukraiński i miejscowe zwyczaje — okazał się bardzo pomocny swoim hitlerowskim przyjaciółom. W jednym z pism naczelnego dowództwa wojsk SS mówi się, iż „w okresie od lipca do września 1941 roku Menten pracował w charakterze tłumacza służby bezpieczeństwa i miał prawo do noszenia munduru Hauptsturmführera SS”.

Istotnie, Menten nosił wtedy mundur SS i był tłumaczem, ale ponadto — a tego już oczywiście w wyżej wymienionym dokumencie nie ma — brał czynny udział w co najmniej trzech masowych egzekucjach we wsi Podgorodce, gdzie mieszkali zaprzyjaźnieni z nim ludzie, jak również we wsiach sąsiednich. Opowiadają o tym naoczni świadkowie, którym udało się uniknąć śmierci. Holenderski dziennikarz, Hans Knoop, redaktor naczelny amsterdamskiego tygodnika „Akcent”, był osobiście w Podgorodkach i słyszał jak opowiadali o głównemu prokuratorowi Lwowa — Antonienice, o tym, co widzieli na własne oczy. Oto kilka zdań:

KAROLINA SEMALAK: — Miałam wówczas 11 lat, ale przypominam sobie wszystko doskonale. Mieszkańców całej wioski, nawet dzieci, zmusili do oglądania egzekucji. Menten sam nie strzelał, ale cały czas wydawał polecenia. Widziałam wszystko na własne oczy. Ofiary zagnano do domu Plistynera, a następnie małymi grupami, po trzy, pięć osób, musieli wychodzić z domu i przechodzić pojedynczo po desce ułożonej nad dołem. Gdy skazaniec dochodził do środka deski, otwierali do niego ogień z karabinów i ten spadał do dołu. Byłam obecna i podczas drugiej egzekucji. Wtedy całą egzekucją kierował Menten...

MIRON PISTOLAK: — Kiedy Menten zabił mego brata, Władimira, miałem 11 lat, Władimir miał 18 lat i na rozkaz Mentena on pierwszy musiał przejść po desce nad dołem. Wzruszającym mieszkaniem wioski kazano oglądać egzekucje, nawet dzieciom. Ale wokół dołu stał dorosły i dzieci nie nie widziały. Wtedy kazali nam wejść na drzewa, żebyśmy także wszystko dobrze widzieli. Tego, co zobaczyłem, nie zapomnę do końca życia. Mojego brata wyprowadził pierwszego ponieważ był sekretarzem organizacji komunistycznej. Menten wydawał rozkazy. Nikt nie miał wątpliwości, że to on. Przecież wszyscy znaliśmy go z widzenia.

DMITRIJ ANTONIAK: — Miałem wtedy 20 lat. Okupanci zaczęli spędzać ludzi do centrum naszej wsi, gdzie była niewielka synagoga. Było tam 120 osób. Mężczyzn, kobiet, dzieci. Dwóch policjantów wyprowadziło pierwszą pięciosobową grupę i podprowadziło ją nad dół. Obok na krześle siedział Pieter Menten w hitlerowskim mundurze. Mieszkańcy wsi poznali go natychmiast, ponieważ i wcześniej widywali go w Podgorodkach i w sąsiedniej Soplecie. Kiedy ludzie znaleźli się przy dole, żołnierze zaczęli strzelać. Tego dnia zabili nie mniej niż 120 mieszkańców naszej wsi. Potem ograbili domy i sklepy zamordowanych Żydów.

IRINA BARNOTSKA: — W Podgorodkach Menten zjawiał się w niemieckim mundurze wojskowym. Kazał zebrać wszystkich aktywistów (takiego określenia używa „Stern”, chodzi o komunistów). Następnie rozpoczęła się egzekucja. Między innymi został także zabity mój brat Josif. Menten przez cały czas współdziałał z ukraińskimi nacjonalistami. Na rozkaz Mentena obszkalili domy Żydów, mówiąc, że chcą odnaleźć i zabrać mienie należące do Mentena, ale grabili także i nasze mienie.

STANISŁAW MOSZINSKI: — Przed wojną gajowy, Adolf Stiepan z Sopota pokłócił się z Mentenem, który nie chciał mu zapłacić za pracę. Kiedy Menten w mundurze SS zjawiał się u nas we wsi, kazal znaleźć Stiepana. Przyprawdzili go. Menten powiedział do niego: „No i tak, teraz otrzymasz swoje pieniądze” i kazal go rozstrzelać przy jego domu. Żona Stiepana zaczęła krzyczeć, ale Menten warknął do niej: „Milcz, bo i ciebie rozstrzelamy”. I zwracając się do towarzyszących mu ukraińskich nacjonalistów, rozkazał bez namysłu: „Ją także rozstrzelać!”

3.

Nikt ze świadków nie mógł zrozumieć, dlaczego Menten w tak nieładny sposób rozprawiał się z ludźmi, z którymi kiedyś utrzymywał tak dobre stosunki, u których bawił i był tam mile widziany. Pozostali

przy życiu członkowie rodziny Plistynera sądzą, iż Menten miał się za przegrany proces sądowy. Inni przypuszczają, że chciał się policzyć z komunistami za to, że w 1939 roku, kiedy Rosjanie wkroczyli do Galicji, stracił cały swój majątek. Zagrabione mienie pomordowanych musiało mu „zrekompensować straty”. Wszyscy natomiast są zgodni co do tego, że Menten chciał się wysługiwać hitlerowcom.

Jedno jest pewne: w atmosferze bezprawia i gwałtu Menten, wykorzystując stosunki z okupantami zajmującymi wysokie stanowiska, robił wielkie interesy. Wszędzie bezlitośnie łupił: we Lwowie zagarnął mieszkanie zamordowanego chirurga, Żyda, kolekcjonera obrazów; Mentenowi powierzono „administrowanie” skonfiskowanym mieniem Żydów; za pośrednictwem handlarza-antykwarium, Josefa Stieglitz, któremu, mimo jego żydowskiego pochodzenia, za wstawiennictwem Mentena pozwolono na przeniesienie sześciornamiennego gwiazdy i w 1942 roku pozwolono nawet wyjechać do ówczesnej Palestyny, Holender Menten potrafił wykupywać za bezcen, lub „organizować” dla siebie najcenniejsze dzieła sztuki znajdujące się we Lwowie.

Gdy esesowskie dowództwo zaniepokoiło rozmachem spekulacyjnej machinacji na terenie okupowanej Polski, sytuacja „kolekcjonera” z Holandii nie była najlepsza. Nie zwlekając jednak złożył wiadomym oświadczenie zapewniając w nim, że jest „wiernym sojusznikiem führera, z własnej woli okazywał wszechstronną pomoc oddziałom SS, oddał się całkowicie do ich dyspozycji, a swoje służbowe kontakty wykorzystywał wyłącznie w interesach ruchu narodowosocjalistycznego, nie ciągnąc z tego najmniejszych osobistych korzyści.

No, właśnie! Kiedy w 1943 roku Menten opuścił Generalną Gubernię, wywoził do Holandii trzy wagony kolewoje z meblami i cennymi, nieraz bezcennymi, dziełami sztuki. Oto co „wyrzucił” z 73 kilogramów bagażu, z którym udawał się w drogę w 1939 roku. Menten zamieszkał w luksusowej willi w Erdenhute i wkrótce znów spadły nań zaszczyty niemieckich władz okupacyjnych. Przez to, że Eberhard Schengarten, szef SS i polizei w Krakowie, gdzie hitlerowscy okupanci ugrzęźli po uszy w korupcji, usunął ze stanowiska i przeniesiono do Holandii. Tam powierzono mu funkcję zastępcy szefa SS i policji, którą pełnił dotąd niejaki Rauter. Pierwsze trzy miesiące pobytu w Holandii, Schengarten mieszkał w willi swego przyjaciela Mentena.

Schengarten powiesił Anglicy w 1946 roku, za zabójstwo brytyjskiego jeńca-pilota. Menten po zakończeniu wojny znalazł się trochę strachu. O jego udziale w masowych zabójstwach jakoś nikt nie wspominał. „Brak było dostatecznych dowodów”, żeby oskarżyć go o grabież obrazów, że służył w armii wroga „także mu nie dowiedziono”, chociaż sąd miał w rękę jego fotografie, na których figurował w mundurze oficera SS. Menten twierdził, że zdjął się podrobione. Pozostały więc tylko „drobne usługi” świadczone okupantowi, za które dostał osiem miesięcy więzienia, ale zaliczono mu areszt prewencyjny, więc zaraz po rozprawie wyszedł na wolność... Menten uważał, że jeszcze jemu coś się należy: 700 tysięcy guldenów „odszkodowania” od rządu holenderskiego za obrazy rzekomo zrabowane z jego mieszkania przez członków Ruchu Oporu oraz 550 tysięcy marek odszkodowania od rządu RFN za „majątek skonfiskowany” rzekomo przez SS we Lwowie. W charakterze świadka wystąpił Untersturmführer SS, Wilhelm Rosenbaum, który w 1963 roku, w czasie, gdy sąd postanowił „zwrócić” Mentenowi pół miliona guldenów, znajdował się w więzieniu, oskarżony o masowe zabójstwa. W 1968 roku ten „główny świadek” Mentena został skazany na dożywotnie więzienie...

Tymczasem Menten bogacił się. Handel dziełami sztuki przynosił ogromne dochody podobnie jak i handlowe operacje kupna — sprzedaży wielomieszkańczych domów czynszowych w Amsterdamie przynosiły mu wielkie zyski. W 1964 roku Menten kupił siedzibę wiejską w Irlandii, później willę z parkiem basenem w Blaricum, Willa na 30 pokoi. Majątek Pietera Nicolaasa Mentena ocenia się na 60 milionów guldenów... Potężnych protektorów musiał mieć Menten.

4.

12 lutego 1977 roku przybyła do Polski specjalna holenderska ekipa śledcza, która weźmie udział w przesłuchaniu polskich świadków w sprawie zbrodni popełnionych przez Mentena w czasie okupacji hitlerowskiej w Polsce. Holenderscy prawnicy zapoznają się także z dokumentacją dotyczącą zrabowanych w Polsce dzieł sztuki, które Menten wywoził do Holandii w kilku wagonach towarowych w styczniu 1943 roku. W poniedziałek, 15 lutego, rozpoczęło się już przesłuchanie świadków w obecności holenderskich prawników,

Adolf Horak nie należał do najbogatszych łódzkich fabrykantów. Bogactwem bliżej go do Scheibler, i Kon, i Poznański. Ale i Horak, kiedy poczuł się dostatecznie bogaty, stworzył swoje „królestwo”. Wokół fabryki postawił trzy pałacyki, choć niewielkie w porównaniu z pałacami Poznańskiego, to jednak owe budynki świadczyły o zamożności i zapobiegliwości właściciela. W pierwszym — największym — on sam zamieszkał.

Dzisiaj mieści się tu zakładowa przychodnia. W drugim mieszkał syn, w trzecim zaś córka z zięciem. Ten ostatni, najmniejszy, mieszczący się w parku, stał się siedzibą klubu Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej.

Pałacyki, a właściwie willa, do niedawna otoczona była płotem. Dzisiaj z płotu zostały mizerne resztki, kupka cegieł i kawał polanowej rury. Niewiele także pozostało parkowych drzew. Te, które rosły przed samym domem, zostały wycięte, ziemię zalano asfaltem i parkują tu od czasu do czasu samochody.

Adolf Horak nie skąpił groszy na wyposażenie swoich pałacyków. Piętro, solidne budynki niejedno przetrzymały. Tylko dawniejsze salony mocno pomalały, bo nowi użytkownicy podzielili je ściankami działowymi. Choć ciasnota jest ogromna, w zgodzie działają tu: dział socjalny i przykładowy klub. Z uczestnikami zajęć w amatorskich zespołach pracownicy działu socjalnego mają niewiele kontaktu. Klub rozpoczyna swoją działalność późnym popołudniem, kiedy to po pracownikach socjalnych fabryki nawet śladu nie ma.

Może to i dobrze. Nie wiem, czy w halasie, huku, gwarze, jaki wieczorami dobiega z wszystkich pomieszkań klubowych można by było załatwić jakikolwiek problem socjalny?

1.

Amatorska opera powstała w 1964 roku. Nie ma co ukrywać projekt założenia zespołu operowego w fabryce nie spotkał się z należytych uznaniem. Różnie starano się ostudzić zapędy kilku zapaleńców, w tym kierownika klubu, Henryka Urbańskiego, którzy zgłosili się do ówczesnego kierownictwa z owym projektem. A to brak funduszy, a to brak zainteresowania wśród pracowników fabryki, a to w końcu brak zaplecza techniczno-organizacyjnego dla urzeczywistnienia tego projektu.

Pozostanie tajemnicą Henryka Urbańskiego, jakich użył wówczas argumentów, aby przekonać niedowiarców, że amatorska opera ma rację bytu w środowisku robotniczym. Wydaje mi się, że w ostateczności przeważał najcieńszy argument: znaleźli się wśród robotników chętni do śpiewania w amatorskiej operze. Niewiele, ale wystarczyło do tego, aby 19 stycznia 1965 roku zespół uczcił dwudziestą rocznicę wyzwolenia Łodzi uroczystą premierą „Miłostek ułańskich” Cypriana Godebskiego.

2.

— Dzień dobry — dwie dziewczyny stoją w drzwiach pokoju kierownika. Trochę ośmieszona, niepewna, czy wejść dalej, czy też trzasnąć drzwiami i uciec. Kierownik powoli podnosi głowę z nad pierścionków.

— Słucham.
— Słyszaliśmy — mówi starsza z dziewczyn — że działa tu jakaś opera... no i właśnie chcieliśmy... — milknie.
— Proszę bardzo — kierownik podrywa się zza biurka — Panie chętnyby zapisać się do naszego zespołu operowego? Właśnie brakuje nam solistów znowu dwójce od nas zaczęło śpiewać w Teatrze Muzycznym. Panie gdzieś już śpiewały? Chwila kłopotliwego milczenia.
— Właśnie to ja śpiewałam — mówi jedna — tylko w szkolnym chórze, poza tym... w domu, no, podczas zajęć...
— Druga nigdzie nie śpiewała. Niedawno, podczas zakładowej wycieczki spróbowała coś tam zanucić. Koleżanki powiedziały jej: — Iza, masz ładny głos, zapisz się do naszej opery. Przyszła więc, bo może przydać się zespołowi.

Kierownik promiennie. Szerokim gestem zaprasza kandydatki do następnej sali, gdzie Wojciech Poznański, kierownik artystyczny zespołu, przygotowuje nową premierę.

3.

Wojciech Poznański do rzadkości zalicza przypadki, gdy zgłaszali się do zespołu kandydatki ze znajomością nut. O solfeżu i innych tajemnicach śpiewania większość dowiadywała się dopiero w czasie prób. Wojciech Poznański wymaga więc od kandydatki jedynie muzykalności no i trochę głosu. Reszty, czyli wszystkiego, uczy podczas niezliczonych spotkań z kandydatkami na śpiewaków.

— Pewnie mi pan nie uwierzy — mówię — ale każdego chętnego witam z radością. Szczerze mówiąc czasami już mi w głowie hucały od wteńszego powtarzania tych samych gam, czasem mam ochotę cisnąć to wszystko, ale wiem, że moja praca nie idzie na marne. Oni robią ogromne postępy. Wkładają w naukę śpiewu ogrom pracy, ćwiczą, pracują, śpiewają. Czasami zastanawiam się, co skłania ich — dorosłych, dojrzałych ludzi, fachowców, na stanowiskach — do uczenia się śpiewu operowego? Myślę, że śpiew stał się dla nich autentyczną pasją.

4.

Fortepian niemilosernie fałszuje, co wychwytuje nawet moje bardzo

niemuzykalne ucho. Niektóre klawiatury w ogóle odmawiają posłuszeństwa. No, pomyślałem nie bez złośliwości, jeśli on nauczy ich czegośkolwiek na tym fortepianie, to ja jestem szach perski. Kierownik klubu, widząc moją rozbawioną minę, zaczął się tłumaczyć. Tak w ogóle to fortepian jest dobry, obojętnie stały konserwator, zaglądnij do klubu bardzo często, nawet za często jak na wymagania księgowego, który podpisuje rachun-

właściciela fabryki i pałacyku, Adolfa Horaka. Gdyby zobaczył w jakich warunkach działa amatorska opera, może by w swoim czasie dorzucił jeszcze trochę grosza i dobudował choć jedno piętro, albo przynajmniej założył lepsze kaloryfery!

W małej salce głos śpiewaków drżał, wibrował, huczał niczym dzwoni Zygmunta.

— Występujemy w dużej konferencyjnej sali zakładów — powiedział mi Wojciech Poznański. — Natomiast próby odbywamy w małej salce, gdzie każdy głos, odbijając się od czterech ścian, nabiera mocy. Późniejszy kontrast zaskakuje wszystkich, a najbardziej tych którzy uwierzyli w czasie prób w siłę swojego głosu. To ogromny kłopot w naszej pracy.

MIROSLAW KUŹNIAK

ŚPIEWANIE W HORAKOWEJ WILLI



Foto: Archiwum

„Właśnie brakuje nam solistów, znowu dwójce od nas zaczęło śpiewać w Teatrze Muzycznym”.

5.

ki za strojenie i naprawę instrumentu. Rzecz w tym, że fortepian będzie zawsze rozstrojony, bo nie służy mu Horakowski salon. No, może nie tyle salony, ile urządzenie ogrzewające te pomieszczenia.

— Fortepian jest instrumentem czulym — mówi — wymaga stałej, a niebytnie wysokiej temperatury. Kłopot z tym, że para dochodząca do kaloryferów z fabryki jest zbyt gorąca. W dzień można upuścić nadmiar ciepła przez otwarte okna. W nocy okna są zamknięte, bo wymaga tego miękkość klubowa. Toteż w nocy temperatura dochodzi do czterdziestu stopni. Stróż by nie wytrzymał, gdyby był, a co dopiero fortepian w dzień nastrojony. W nocy kompletnie się rozstraja. Nie ma na niego sposobu. Można, co prawda, wyłączyć kaloryfery: mniejsza o ciepło, sztuka kwitnie nawet w zimnie, ale wtedy kaloryfery zaczynają walić. Słowo daje, sam to słyszałem, kiedy na moją „rośbę” zakrecono główny zawór. Drżała wtedy Horakowa willa od fundamentów aż po dach.

Kiedy przysłuchiwałem się którymś z kolejnych prób zespołu, poczułem w pewnej chwili pretensje do byłego

— Przez zespół przewinęło się wielu pracowników fabryki. Z pierwszego składu, który występował w „Miłostkach ułańskich” nikt już nie został. Ja także przyszedłem później, a trafiałem do zespołu przypadkowo. Najpierw śpiewałem w chórze kościelnym, ścignął mnie tam kolega. W chórze śpiewałem prawie dwa lata. Potem zaudyli mnie te monotonne pienia i zacząłem rozglądać się za czymś innym, ciekawym. Dowiedziałem się od kolegów, że powstała i działa amatorska opera. Przyszedłem, zaśpiewałem na próbie i zostałem.

Jerzy Krawczak, najstarszy członek zespołu, jest robotnikiem barwiarni. W zespole jest także pracownik działu BHP, inżynier chemik, uczennica, a nawet kobieta-kierowca taksówki.
— Tak był pierwszy kontakt z zespołem większości z nas — mówi Jerzy Krawczak. — Dowiadaliśmy się o zespole z ogłoszeń, które wiszą w fabryce, czasem z anonsów prasowych, a czasami także po prostu informowali nas o istnieniu opery koledzy z oddziału.

Przewodniczący Rady Zakładowej w Zakładach im. Armii Ludowej jest młody, energiczny.

— W sprawie naszej opery? Proszę bardzo, co towarzysza interesuje? Wszystko? No, działa już 14 lat. Chwalimy się nią, pokazujemy załóżce podczas prawie wszystkich zakładowych uroczystości. Bardzo się podobają. Naprawdę! Znamy ich trudne warunki, no, ale cudów nie ma, innych nie stworzymy, bo nie ma gdzie. Wszędzie ciasno, a im oddaliśmy prawie cały budynek.

Wiedzie, towarzyszu, podziwiam tych ludzi. Uczą się, próbują, stale ćwiczą. Uwazam, że dobrze popularyzują muzykę operową. A to jest ważne, naprawdę ważne! Nasz zespół dał już kilka premier. Tytuły? No, wiedzie towarzyszu, ucieki mi z pamięci, bo ja, prywatnie mówiąc, nie przepadam za operą, wolę operetkę. Ale, proszę bardzo, to jest towarzysza, która zajmuje się rozprawadaniem wśród pracowników abonamentów do Teatru Wielkiego, prowadzi także Koło Miłośników Opery. Ktoś liczy już kilkudziesięciu członków, to także ważny efekt działalności naszego zespołu. Poza tym nasz zakład produkuje w Łodzi w ilości rozprzodzonych biletów do Teatru Wielkiego.

7.

Henryk Urbański skrupulatnie wlicza premiery amatorskiej opery.

— Najpierw były „Miłostki ułańskie” Godebskiego, potem „Zamek na Czorsztynie” Karola Kurpińskiego, „Trzewiczki” Piotra Czajkowskiego, „Nedza uszczęśliwiona” Macieja Kamieńskiego. Średnio co dwa lata przygotowujemy nową premierę. Sprawa bowiem nie jest łatwa. Trzeba przygotować śpiewaków, nauczyć ich poszczególnych partii, a to wymaga dużo czasu. Tym bardziej, że są to ludzie pracujący, mający także obowiązków zawodowych, obowiązki domowe. Ustaliśmy, że próby będą się odbywały dwa razy w tygodniu, to i tak dużo.

Jerzy Krawczak dodaje:

— Nie jest łatwo wyrwać się z domu. Czasem po prostu trzeba pokłócić się z żoną, żeby wyjść na próbe. Znać cieszę zawsze mnie przekonuje, że jestem już za stary na śpiewanie w operze. Myślę, że by mi nawet wybaczyła jakaś wódka z kolegami, byłbym tylko nie wyrwał się na próby opery.

Inżynier uśmiecha się nieco smutnie. On także ma kłopoty z wyrwaniami się z domu. Żona nie lubi zostawać samotnie wieczorami. Która w końcu to lubi?

Pani Irena, właścicielka i kierowca taxi w jednej osobie, nie ma tych problemów. Zawsze może zjechać z trasy na dwie, trzy godziny. Straci kilka złotych, bo jej warsztat pracy zamiast przemierzać łódzkie ulice, mknie przed willą, ale dla śpiewu gotowa jest dużo poświęcić. No i nie ma kłopotów z ćwiczeniami głosu. Ćwiczy wtedy, kiedy taksówka jest pusta, w czasie drogi do postojów.

— Z ćwiczeniami to mamy ogromne kłopoty — mówi Jerzy Krawczak. — Najpierw próbowałem śpiewać w domu przy żonie, ale i ona i sąsiedzi szybko wybili mi ten pomysł. Czasem tylko korzystam z tego, że żony nie ma w mieszkaniu i śpiewam na cały regulator. Do czasu, dopóki sąsiedzi nie zaczną pukać w sufit czy w ścianę.

— Niech pan nie sądzi — powiedział mi jeden z nich — że naszymu śpiewaniu przeciwna są tylko żony. Nawet tu, w fabryce, czasem też kręca głowami. Nieraz słyszymy: a po co nam operat? Lepiej utworzyć jakiś zespół muzyczny, pogralby pracownikom na balach świątecznych i karnawałowych. A koleżdy pukała się czasami w czoła: stary, a po co ci to śpiewanie? Masz coś z tego? Płacz ci! Lepiej byś z nami gdzieś wyskoczył po pracy!

8.

W każdy poniedziałek i czwartek noszą się z Horakowej willi rozgłosne śpiewy. Czasem pod oknem przystanie przemierzający się asfaltowymi drózkami parku jakiś zapóźniony przechodzień. Posłucha rozstrojonego fortepianu, może jeszcze wysłucha kilkunastu „la, la, la”, wyciągną przez któregoś z nowicjuszy i śpiesznie odchodzi. Ze że im się chce — pomysł!

Wojciech Poznański powiedział mi: — Stworzyliśmy mały, zgrany zespół. Wszyscy zarziliśmy się operą. Moi uczniowie nie myślą o robieniu karier zawodowych śpiewaków, choć dwójce młodych śpiewaków z naszego zespołu przeszło do Teatru Muzycznego. Większość śpiewa po prostu dla przyjemności. A że występując na uroczystościach zakładowych popularyzujemy trudną sztukę operową, to dodatkowy efekt naszej pracy.

W ciągu czterech lat uzbieraliśmy też kilkanaście nagród. Warto i przy tej okazji o nich wspomnieć. W 1967 roku amatorska opera zdobyła trzecie miejsce na Festiwalu Kulturalnym Związków Zawodowych. W 1970 roku w analogicznej imprezie otrzymaliśmy wyróżnienie.

Mówiłem już o tym, że do zespołu przychodzą ludzie bez znajomości nut. Tak, to prawda, ale prawdą jest także, że po dwóch, trzech latach pracy niektórzy z nich zdobyli nagrody na Krynickich Festiwalach Art i Pieśni im. Jana Kiepury. Bo wśród robotników nie brakuje naprawdę utalentowanych ludzi.

Wśród 150 włókienniczych zespołów, działających w naszym mieście, amatorska opera jest prawdziwym rarytasem. Warto o nią dbać.

MISIOWE JUBILEUSZE

Parę tygodni temu upłynęło dwadzieścia lat od ukazania się pierwszego numeru „Misia”, czasopisma dla dzieci w wieku przedszkolnym. Pozyskało ono szeroki krąg czytelników nie tylko w Polsce, lecz także daleko poza jej granicami. Wynika to z umiejętnego łączenia w owym periodyku elementów dydaktycznych i wychowawczych z rozrywkowymi oraz z nieustannego dążenia redakcji i współpracowników pisma, aby mały czytelnik nie przyjmował biernie tekstów oraz ilustracji, ale działał, a więc — aby wycinał, kleił, malował; przelistał się to w listonosza, to w bibliotekarza, to w milicjanta kierującego ruchem; pomagał przedstawionej na obrazku dziewczynce odnaleźć drogę do domu; liczył, mierzył, porównywał, obserwowal — słowem, aby poznał świat go otaczający i uczył się w nim żyć.

Do poczytności czasopisma znacznie przyczynił się drugi, ściśle z nim związany, jubilat (bo również obchodził dwudziestą urodziny!), bohater drukowanej przez kilkanaście lat powieści odcinkowej — Miś Uszatek, który stał się „narodowym” ulubieńcem dzieci, tak, jak Myszka Miki i Kaczor Donald w Stanach Zjednoczonych, czy też niedźwiadek Riquiqui i koziołek Roudoudou we Francji. Skłoniło to twórców Uszatka, pisarza i długoletniego redaktora „Misia” — Czesława Janczarskiego oraz grafika Zbigniewa Rychlińskiego do wydania powieści w serii książek: „Przygody i wędrowki Misia Uszatka” (1960), „Nowi przyjaciele Misia Uszatka” (1963), „Gromadka Misia Uszatka” (1964), „Bajki Misia Uszatka” (1967) i „Zaczarowane kółko Misia Uszatka” (1970).

Książki te wkrótce po ukazaniu się zostały przetłumaczone na kilkanaście języków, mianowicie: na bułgarski, francuski, holenderski, litewski, łotewski, niemiecki, ormiański, rosyjski, serbochorwacki, słowacki i węgierski.

Do dwudziestoletniego dorobku obu Jubilatów trzeba obok ich popularności zaliczyć szereg przedsięwzięć. Chronologicznie pierwszym z nich jest zainicjowana w 1960 r. seria wydawnicza „Książeczki z Misiowej Półeczki”. Kilkanaście książek z tego cyklu zawiera udoskonalone wersje drukowanych na wkładkach do „Misia” wycinanek, lamigłówek itd.

Odnótować należy również nazwanie w 1964 r. imieniem Misia Uszatka jednego z przedszkoli poznańskich. Wypada tu — na marginesie — zachęcić inne placówki tego typu do kultywowania zapoczątkowanego w Poznaniu zwyczaju, przez oddawanie ich pod patronat nie tylko Uszatka, lecz wielu innych równie uroczych postaci z polskiej i obcej literatury dla dzieci.

Poza tym w różnych miejscowościach naszego kraju powstały Kluby Misia Uszatka, oparte na różnych założeniach organizacyjnych. Jeden z nich został stworzony w 1967 r. (przed dziesięciu laty, a więc trzeci misiowy jubileusz!) przez Marię Borowkin w 94 Państwowym Przedszkolu w Łodzi. Działalność tego KMU, którą można lapidarnie określić jako „zabawę w organizację”, ma na celu pogłębienie wychowania społeczno-moralnego.

Postać Misia zainteresowali się także filmowcy z łódzkiego Studia Małych Form „Semafor”. Reżyser Lucjan Dembiński zrealizował w 1961 roku film „Miś Uszatek”, a w 1968 roku — „Zaproszenie”. W 1970 roku Miś bawił radzieckie dzieci jako bohater cyklu widowisk przedstawionych przez Telewizję Leningradzką. Obecnie, od 1974 r., „Semafor” przygotowuje pierwszą serię 52 filmów telewizyjnych o Uszatku, planując kilkadziesiąt odcinków następnej. Realizatorami jej — na podstawie motywów książek Czesława Janczarskiego oraz koncepcji plastycznej Zbigniewa Rychlińskiego — są: Janusz Galewicz, Marian Kiebaszczyk, Jadwiga Kudrzycka oraz Dariusz Zawilski.

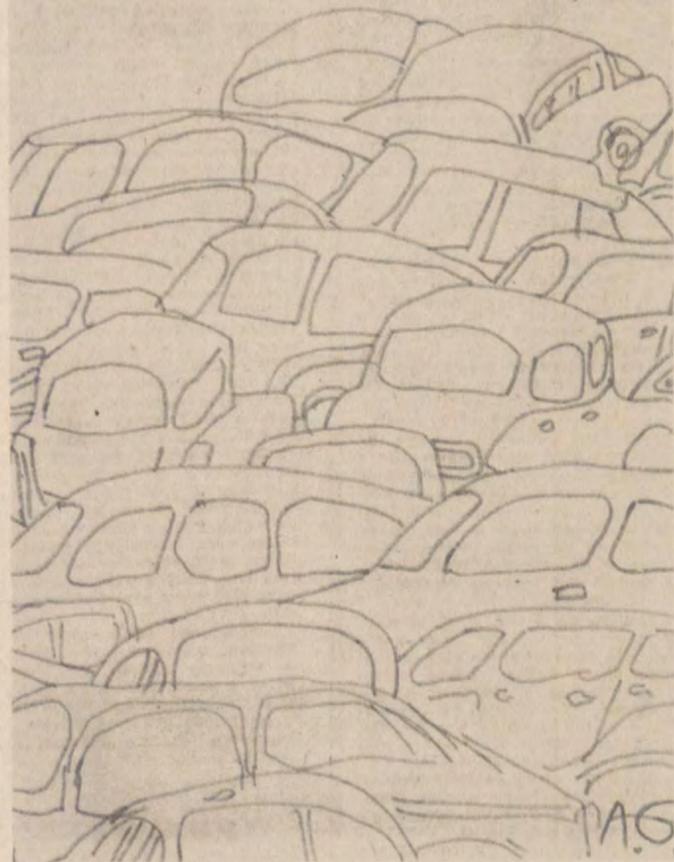
Kończąc owe jubileuszowe podsumowanie, należy życzyć: „Misiowi!” — większego nakładu, zaś Uszatko — wydania jeszcze jednej książki o nim, zawierającej nie ogłoszone w tej formie utwory Czesława Janczarskiego (m.in. „Piosenki Misia Uszatka”).

STANISŁAW BOROWKIN



magiczny młyn

ANDRZEJ GRUN



Ma rację, po stokroć ma rację Waldemar Łysiak, kiedy w swojej przewrotnej i pięknej książce „Francuska ścieżka” przestrzega: „Nie wyrzucajcie bajek do dziecinnego pokójku. Nie wyrzucajcie ich w ogóle, bo cóż wam zostanie? — winda i tranzystor, coca-cola i zupa w proszku, kronika ogłoszeń, godzina na zegarku. Życie się kończy, a zegarek tyka dalej. Tylko bajkę można zabrać ze sobą”. Tylko, no, właśnie — kto dziś umie opowiadać bajki.

Na głośnej (dosłownie i w przenośni) rock-operze „Tommy” nie byłam, ale za to oglądałem jej filmową wersję, noszącą zresztą ten sam tytuł. Film reżyserował Ken Russell (autor sławnych „Diabłów”) pospolu z kompozytorem Peterem Townshendem w wytwórni Columbia. Muzykę w filmie „robili”: zespół WHO (ten sam, który nagrał w Stanach Zjednoczonych wersję premierowej opery), Tina Turner, Elton John i Eric Clapton. Z plejady znakomitych aktorów dość wymieni Jacka Nicholsona, Oliviera Reedda i Ann-Margaret. Film kosztował 3,5 miliona dolarów; pieniędzy nie żalowano, jako że z góry weszono niezły biznes, co też sprawdziło się. „Tommy” filmowy dostał super-reklamę w Stanach i w Anglii, mimo, że opinie krytyków od rocka były bardzo podzielone. Nie będę się wdawał w szczegóły tej krytyki, bo tajniki rockowego musicalu filmowego (i scenicznego także) są mi nieznane. „Tommy” interesował mnie przede wszystkim z racji swojej fabuły i formy i o nich to chciałem słów kilka. Jest to bowiem, w moim przekonaniu, próba stworzenia współczesnej baśni. Interesujące jest zatem, z jakiego gruntu wyrasta i jak zostaje opowiedziana, są to bowiem dwa czynniki dla baśni dość istotne. Przypuszczam, że moja interpretacja fabuły i symboliki „Tommy’ego” odbiega nieco od „oficjalnych”, to znaczy takich, które wyznaczają busole zorientowane zdecydowanie na bieg „filozofii pop”. Pod mój kompas dawno wetknąłem siekiere (tego sposobu nauczyłem się od piratów Morza Karaibskiego) i nie wyjmuję jej ani wtedy, gdy żegluję oceanem renesansu, ani gdy wpływam w archipelagi współczesności, ani też, gdy przyjdzie mi wędrować góry baroku. Sztuka nie tylko pozwala, ale wymaga, żąda, własnej interpretacji i indywidualnego osądu (że nie wspomnę już o odczuciu emocjonalnym). Ale odbiegamy od tematu.

Otóż był sobie raz Tommy (podstawowy bohater filmu), kaleka od urodzenia: był głuchy i ślepy i bez zmysłu dotyku. Biedne dziecko. Baśń zaczyna się po baśniowemu. Alisi rodzina postanawia wyleczyć Tommy’ego i poddaje go różnym dziwnym (i bardzo barwnym) zabiegom. Dzieją się one na tle pełnych rozpacz, nadziei i bólu śpiewanych pytań matki: Do you hear me? Do you see me? Do you touch me? (Czy mnie słyszysz? Czy mnie widzisz? Czy mnie czujesz?). Ale Tommy’emu nic nie pomaga. Skoro więc nie medycyna i psychoterapia — może więc religia, wiara. Matka prowadzi Tommy’ego do kościoła, w którym brodaty facet z gitarą — kapłan — odprawia nabożeństwo przed ogromnym posągami Marylin Monroe, która jest kobietą i tylko kobietą, uosabiającą Miłość (fizyczną oczywiście): usta, oczy, poza — no, zresztą wiecie, jaka ona potrafiła być (wydano u nas niedawno o tym książkę). W świątyni tłumy chorych, kalek i pielgrzymów wierzących w uzdrawiającą moc Bogini Miłości. Najpierw komunika z kolorowych kuleczek antykonceptyjnych, popijanych sporym lykiem whisky, a potem całowanie pięknych stóp Bogini. Tommy w tej całej celebracji nie zachowuje się jak należy: przez nieuwagę strąca posąg, który zamienia się w kupę gipsowych skorup. I po micie.

Matka prowadzi Tommy’ego do znachora. Jest nim kuzyn Tommy’ego, sadysta, który maltretuje go okrutnie, plawi w wannie, tarmosi, turli po podłodze, na koniec wieszka na hak, żeby wyszeł. Nie pomaga.

Teraz jesteśmy ni to w burdelu, ni to w sex-shopie, ohydnej, brudnej spelunie, gdzie Tommy pozostawia swą niewinność. Potem jest LSD, heroina i inne takie, ale tego, co dzieje się na ekranie nie podobna opisać, bo jest to jedna wielka orgia obrazów, barw i dźwięków, które piętrzą się i potęgują aż do jakiegoś katastroficznego apogeum, po którym następuje koszmarna cisza i pustka. Ale Tommy jak był, tak jest.

I oto ukazuje się Wielki Czaro-dziej, Mag Najwyższy maszyn grających i bilardów, w otoczeniu świty młodzieńców w obrzydliwych, ciemnych okularach, na ogromnych koturnach. Mag urzemia Tommego w bilardową kulkę i gra nią w automacie, objając niemilosierdzie. Każdemu by to pomogło, ale nie Tommy’emu.

Dokonują na chorym jeszcze kilka bezskutecznych eksperymentów, których opisywać nie będę, bo są one właściwie do oglądania, a nie do opowiadania. W każdym razie na koniec Tommy zostaje nareszcie uzdrowiony. Odkrykuje wzrok, słuch i dotyk dzięki... słońcu, czystemu powietrzu i wodzie. A ponieważ w trakcie tych

wszystkich zabiegów, jakich na nim dokonywano, pozostawał właściwie jak w hermetycznej puszcze, staje oto czysty, nieskalany, „jak iza”. Na krótko. Bo oto łapia go w swoje szpony faceli od idoli, od supergwiazd. Tommy ma się stać bożyszczem młodzieży. Urabiają zatem Tommy’ego na innego Tommy’ego, metodami podobnymi do poprzednich kuracji, ładują w niego mity i symbole (sprzeczne, fałszywe, zakłama-ne). Tommy nie wytrzymuje tego, dostaje obłądu, wybucha piekielna awantura, w której chcą go wszyscy, lansujący i wielbiciele, ukatrupić. Ale jemu udaje się (cudem) zbiec pod opiekuńcze promienie słońca, na zieleni murawy i tam, w bliskim sąsiedztwie wody (wodosпад) śpiewa swój song pochwalny na cześć świętego spokoju i muzyki.

Bajka prościutka i czytelna (i taka być powinna), nie ma ani jednego „haczyka”: jest wręcz klasyczna. Opowiedziana zaś jest, według wszelkich prawideł narracji pop-kultury. Zatem: tempo akcji i obrazu, barwa ostra, kontrast kolorów, zaskakująca zmiana sytuacji, zbliżenia, przerysowania i deformacje, ekspresja obrazu, potęgowanie napięcia kolorem i dźwiękiem, synchronizacja obrazu, barwy i dźwięku w rytmicznych impulsach i calch długich sekwencjach. Gdyby baśń o Tommy’em napisać (mówię w a p i s a ć), byłaby do czytania, jak każda inna baśń. Gdyby ją nakreślić w innej konwencji, byłaby prawdopodobnie niestrawna. W wersji rockowej jest widowiskiem, które co prawda męczy, ale które się ogląda od początku do końca. I do tej pory wszystko się zgadza. Tylko pytanie: czy ten sposób opowiadania bajek zadawała nas, spełnia nasze tęsknoty? Nie. W każdym razie nie moje. Nie zadawała także Disney, ani konwencja radzieckiej bajki filmowej, mimo — przecież — że są śmieszne, kolorowe, często z pięknymi obrazami itd. Czyżby więc film nie był językiem bajki? Chyba tak jest. Film nadał się do faktu, mity i legendy, nie do bajki. Baśń bowiem żąda tajemniczości, jaka może stworzyć tylko słowo. I ma rację, no stokroć ma rację Waldemar Łysiak, pisząc we wspomnianej już książce: „...musimy wnieść uniwersytety, które wskrzeszą zapomnianą sztukę opowiadania bajek”. Tylko znowu pytanie: Czy dziś są ludziom potrzebne bajki? Idźcie po odpowiedź do Cyganki!

Oczywiście, że konieczna jest w tej chwili ścisła ochrona środowiska naturalnego, tylko dlaczego nikt się nie zajmie ochroną środowiska wewnętrznego człowieka, czyli duszy? Ach, te wytarte słowa, jak pumeksem wytarte dżinsy. Czy nikt nie odpowie dziecku na tak proste pytanie? Do wróżki... do Cyganki... Do diabła!

2.

Harry Clerk M. jest „ziamanym” Szkotem: matka jego była Irlandką, a ojciec pochodził z miasteczka Kirkcaldy położonego na północnym brzegu zatoki Firth of Forth. W miasteczku tym urodził się niejaki Thomas Carlyle, ponury kretyn, zwolennik twardej pięści, facet, który ubrał sobie, że historię świata tworzą jednostki bohaterkie — bohaterskie tenory historii. Zaliczał do nich Mahometa, Chrystusa, Shakespeare’a, Lutera, Rousseau, Cromwella, Napoleona, Fryderyka Wielkiego, Jana III Sobieskiego (cwszem, owszem) i jeszcze paru innych. Zaliczają go do grona ojców faszyzmu. Niedaleko od Kirkcaldy, w kierunku północnym, nad zatoką Largo stoi pomnik Aleksandra Selkirka, alias Robinsona Cruzoe. Jak pamiętamy, był on Szkotem, marynarzem, który pokłócił się ze swoim kapitanem, kazał się wysadzić na bezludnej wyspie Juan Fernandez, u wybrzeży Chile. Aha, w Kirkcaldy urodził się jeszcze Adam Smith, autor książki „O bogactwie narodów”. Poza tymi faktami miasteczko Kirkcaldy i tego okolice nie wyróżniają się niczym specjalnym.

Natomiast jeśli idzie o Harry’ego Clerka M., to posiada on wiele cech wyróżniających go wśród innych. W „Dziejach Anglii” Macaulay daje taką oto charakterystykę Szkotów: „Ze Szkoci to ludzie bardzo pojętni, przorni, stanowczy i panować nad sobą umiejący. — uderza w oczy najpowszechniejszego nawet dostrzegacza, lecz i to niemniej jest prawdą, choć nie tak powszechnie uznana, że są ludem szczególnie podległym niebezpiecznym napadom namietności i utudzeniu wyobraźni. Przystawia duma Szkotów przewyższa przysłowiową ich przebiegłość”. Można to odnieść w całości do Harry’ego C.M. Ponadto Harry C.M. jest malarzem i jeszcze chyba tylko to, że kocha Polaków, bowiem jest głęboko przekonany, że Polacy właśnie uratowali mu życie.

Ale zaczęliśmy od początku. W czasie ostatniej wojny Harry C.M. służył w RAF i był strzelcem pokładowym na bombowcu dalekiego zasięgu, którego reszta załogi stanowią... Polacy. Można by tu napisać, że Harry C.M. wpadł w zle towarzy-

stwo, gdyby nie fakt, że w wojsku towarzystwa sobie nikt nie wybiera. Załoga bombowca latała nad kontynent, zrzucała bomby, wracała, piła whisky i piwo i co tam było jeszcze pod ręką „rwała” co się dało, znowu leciała, piła i tak w kółko Macieju. Harry C.M. był wtedy chłopcem młodym, wrażliwym, a Polacy mieli się przebić. Czy można się więc dziwić, że Harry C.M. robił wszystko, że załoga mówiła do niego pieszczołliwie — Hendryczku? Tylko naiwniak mógłby sądzić, że Harry C.M. uchowa się w formie pierwotnej.

Załoga bombowca miała zwyczaj zabierania ze sobą na akcję, poza ładunkiem naturalnym, także ładunek dodatkowy w postaci sporych zazwyczaj ilości butelek szkodliwej puszek z piwem. Polacy fatalnie znosili podniebne, nocne rejsy, bowiem żarła ich wtedy nuda przemieszana z tęsknotą. Dlatego troszczyli się zarówno o ładowanie bombowca, bo bomby pomagały im na tęsknotę za domem, jak i o zaopatrzenie pokładowego baru, bo whisky pomagała im z kolei na nudę. Harry C.M. nie tęsknił za niczym, może tylko za tym, żeby wreszcie się ta wojna skończyła. A kiedy bombowiec wywił się łapom reflektorów niemieckich baterii przeciwlotniczych Harry C.M. nie bardzo potrafił się nudzić, bo się po prostu bał. Jednakże stwierdził szwako, że zarówno na brak tęsknoty, jak i na strach, wódka z jego rodzinnych stron jest lekarstwem w sam raz. Kiedy Harry C.M., alias Hendryczek, doszedł ostatecznie do tej konkluzji, nie już nie zakłócało harmonii międzynarodowej załogi ciężkiego bombowca dalekiego zasięgu. Ze swojej strony Polacy nabrali przekonania, że Hendryczek przynosi mi szczęście i zaczęli traktować Szkota jako swoją maskotkę-talizman, a na wszelkie próby odebrania go im, reagowali zdecydowanie i nieustępliwie.

Zdarzyło się, że kiedyś eskadra, do której należał nasz bombowiec, otrzymała trudniejsze niż zazwyczaj zadanie zbombardowania czegoś tam w Zagłębiu Ruhry. Załoga polsko-szkocka wystartowała jak zazwyczaj, z pełnym ładunkiem bomb, optymizmem i alkoholu. Nocą nadlecieli na cel, zrzucili co mieli do zrzucenia i zawrócili do bazy. Nastój na pokładzie był szampański. Tęsknota plomieniami szeryfa spustoszenie na ziemi wroga, a nuda siedział cicho w pustych butelkach po whisky i w puszkach po piwie. Nie było jej tam zbyt wygodnie, to pewne, ale niewiele miała do gadania. I kiedy nawigator zabierał się właśnie do przeprowadzenia Hendryczka ze znajomości słów piosenki „Góralu czy ci nie żal...”, bombowiec schwylił kryżowe światła reflektorów z baterii naziemnych. W sekundę potem samolot otoczyły krzyżujące się wstęgi pocisków. Musieli widocznie zboczyć z kursu i trafili nad specjalnie umocnione pozycje. Mimo karkołomnych ewolucji, bombowiec nie mógł się wyplątać ze świetlnych sieci. I wtedy właśnie Polacy — kiedy Harry C.M. to opowiada, zachrypły głos jego nabiera specjalnego brzmienia — wpadli na genialny, jak się okazało w skutkach, pomysł: zaczęli wyrzucać puste butelki i puszkę po piwie, których spora ilość wałala się po kątach. Niemcy wzleli to widząc zaatak bombowcy i czym prędzej skryli się w ciemności nocy. Zgasły reflektory, zamilkły działka przeciwlotnicze. Międzynarodowa załoga wróciła do bazy.

I Harry C.M. wierzy, że Polacy to genialny naród i że tylko dzięki nim żyje. Do dzisiaj nie może sobie darować, że parę tygodni później zachorował na gripę i musiał leżeć w łóżku, a jego załoga poleciała z innym strzelcem pokładowym. Nie wrócili do bazy nigdy. Harry C.M. vel Hendryczek siebie wini o to. Mógł przecież polecić chory i chorować w samolocie. I tak piekielnie rzadko używał swoich karabinów, a przynajmniej wszyscy wróciliby szczęśliwie. Na kominku w pracowni Harry’ego C.M. stoją dwie małe flagi: szkocka i biało-czerwona przecięta czarną akamiłką. A kiedy Harry C.M. urznie się, co mu się zdarza zawsze wtedy, gdy złapie jakiegoś Polaka, to śpiewa chrypliwie marsz pogrzebowy „Góralu czy ci nie żal...” i płacze.

Co do malarstwa Harry’ego C.M. to jest to ogród wszelkiego żyjącego rodzaju. Harry C.M. maluje zwierzęta, dżunglę, ptaki, nagich ludzi, którzy robią wrażenie bardzo szczęśliwych. Harry C.M. nie żałuje jaskrawych kolorów, a kiedy mówi, w jego głosie igrają nutki ciepłej ironii. Harry C.M. ma, jak na Szkota, jeszcze jedną dziwną cechę — nie znosi piłki nożnej. Ale jak nasi wygrali z Anglikami, to się urwał jak nieboskie stworzenie. Nie obeszło się oczywiście bez pogrzebowego marsza „Góralu czy ci nie żal...”

Rysował: Andrzej Grun

ALITA OD 7 DO 12

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Która to godzina? Chyba trzeba już wstać, bo słońce wpada przez nie-domknięte okna, przeciska się przez szpary i pada na sawali, bambusową matę. Alita przebudziła się pierwsza. Ostre promienie słońca, zapowiadające upalny dzień, oślepiły ją. Alita ucieka przed nimi, zamyka powieki, odwraca się na drugi bok i dopiero wtedy powoli otwiera oczy.

Bambusowy papag — twarde, proste łóżko wrzyna się w ciało. Ten dokuczliwy ból mobilizuje ją do wstania. Alita przesuwa ręką po swym nagim ciele i wyczuwa palcami miejsca, w których odcisnęły się przez noc zgrubienia bambusa. Powoli wysuwa się spod moskietery i nakłada na ciepłe jeszcze, oliwkowe ramiona i piersi, szarą bawełnianą bluzkę. Ubiór uzupełnia wytarłe, płócienne spodnie, zapinane po męsku na eks-pres, i gumowe klapki. Na niskim dulang, drewnianym stole leży grzebień. Alita czesze nim swoje gęste, lśniące, krótko ostrzyżone włosy i patrzy na swoje entresuelo. Tę wczesną przestrzeń, pod ustawionym na wysokich palach domkiem rodziców Gregoria, dostali zaraz po ślubie. Obudowali ją ściankami na tyle przewiewnymi, by w razie cyklonu wiatr nie przewrócił całego nipa. Potem Gregorio pobudował z desek podłogę, którą Alita starannie zamiała, szorując, a raz w tygodniu, w piątek albo w sobotę, naciera pastą. I tak z dolnej, wolnej przestrzeni zwanej silong zrobili swoje sild, w którym żyją i zbierają pieniądze na swoją chatę, swoją nipa.

Jak się dorobią to i on postawią na wysokich palach swoje nipa, a gdy dzieci dorosną i założą rodziny, to wolną przestrzeń między ich siał, zawieszonym wysoko na wydepku powodzi, a ziemią, otrzyma Antonio na entresuelo dla siebie i swojej żony.

Wzrok Ality błądzi po ścianach. Przyczyniają się do dziennego światła. Powycinane z kolorowych tygodników zdjęcia aktorek filmowych — kolekcja Antonia — przypominają jej, że czas pomyśleć o dzieciach, które jeszcze śpią na matach położonych na podłodze. Obok ołtarzyk z niewielkim, jaskrawo kolorowym świętym obrazkiem ozdobionym sztucznymi kwiatami. Wczoraj przed spaniem, tak jak każdego dnia, Alita zapaliła przed nim oliwną lampkę i modliła się, by ten następny, dzisiejszy dzień był lepszy od poprzedniego.

Teraz słońce trzeba obudzić Gregoria, a gdy on, mrużąc pod nosem, zacznie się zbierać, wtedy Alita musi szybko zerwać z maty trzynastoletniego Antonia. Nie jest to takie proste, gdyż Antonio nie chce jej słuchać i dopiero, gdy ojciec krzyknie na niego, by zasypał popiołem poranne ekskrementy, bo czuć je w całym pomieszczeniu, chłopak zwlecze się z maty, bojąc się razów. Antonio zresztą wie, że przed jej czy później i tak musi pójść na róg do piekarni po pan do sal — słone bułeczki, które zawsze jedzą na śniadanie. Do tego trzeba kupić puszkę sardynek za 15 centavos i za 10 centavos margarynę. Do tego mama odgrzeje resztki ryżu z wczorajszej kolacji i poranny posiłek będzie gotów. Gdy Antonio wraca z zakupów, w glinianym piecu palą się lupiny orzechów kokosowych i galezie bambusa, w aluminiowym czajniku gotuje się woda. Młodszy brat Eduardo i najmłodsza z rodzeństwa Iluminada jeszcze śpią.

Wczoraj dłużej była na telewizji, więc Alita postanowiła ich tak wczesnie nie budzić. Jak mogła, niech śpią. Nie tak często zdarza się, by dzieci oglądały telewizję, bo telewizorów w okolicy niewiele. Wprawdzie na wielu domach są zamocowane anteny telewizyjne, ale są one założone „na pckaz”. Tak jak u Pablo. Alita wie, że gdyby chciała spytać się Pablo, gdzie jest jego telewizor — ten odpowie jej, że „właśnie jest w naprawie”, choć wszyscy wiedzą, że Pablo nigdy nie miał telewizora, bo i za co miałby go kupić. Wszystkie pieniądze traci na arak kokosowy. To był główny powód, że Alita nie wyszła za Pablo. Dostać się w dzieciństwie napastrzyła na ojca, który każdego wieczora siedział przed sari-sari, przed różnym sklepikiem i spał się do nieoryzowności litrami ginu.

Pablo przez długi czas nie mógł się pogodzić z myślą, że Alita, z którą spędził tyle cudownych nocy, teraz dzieli papag z kimś innym. Przez długi czas Gregorio znajdował co rano zawinięte w gazetę ekskrementy, które Pablo przetrzącał pod jego dom. Nie mógł nawet interweniować w policji, gdyż jest to tradycyjny filipiński zwyczaj wyrażania sąsiedziowej wrogości. Gregorio postanowił poczekać aż się konkurentowi wyczerpie cierpliwość i zapas gazet. Teraz jest już spokój, a Gregorio czasem, gdy spotka sąsiada w mieście, to go nawet kawalek podwiezie. Bo Gregorio jest kierowca.

Co dzień rano, po zjedzeniu śniadania całuje żonę w czoło i mówi dzielnym sakramentalne „Bądźcie grzeczni” i idzie do domu Filino, właściciela piecu „jeepneyów”. Są to wojskowe jeepy z wydłużonymi tylnymi

siedzeniami, pomalowane na intensywne, ostre kolory, ozdobione na masce figurkami, z dziesiątkami nigdy nie używanych reflektorów, niepotrzebnych falbanek, dzwonków, ozdobnych malunków. Te obwiszone, kolorowe choinki na czterech kółkach są podstawowym środkiem komunikacji w Manili

Gregorio jest kierowcą takiego „jeepneya”. Musi pracować codziennie, gdyż zarabia tylko wtedy, kiedy jeździ. Wszyscy kierowcy pracują na zasadach „boundary system” — systemu wiążanego, to znaczy, że pierwsze 50 pesos, które szofer zarobi, zabiera pracodawca, zaś wszystko więcej, co Gregorio zarobi poza tą 50-tką, należy do niego. Gregorio i każdy z kierowców wie, że byłoby to zbyt piękne, gdyby cała reszta zarobionej forsyt trafiła do jego kieszeni. A kto zapłaci za benzynę, olej, drobne naprawy? Kto da łapówkę drogowej policji? Wreszcie kto odpłaci dole gangsterom i chuliganom, którzy łatwo mogą go skłonić, jeśli Gregorio im się nie opłaci. Jeździ więc Gregorio, ile może, byle zarobić jak najwięcej. Nawet, gdy znajdzie dobrego klienta, zbacza z wyznaczonej trasy, po której mu wolno się poruszać, mając nadzieję, że nie zostanie przyłapano na łamaniu przepisów koncesji określającej pracę kierowcy.

Zaraz po wyjściu Gregoria, Alita po raz wtóry siada przed lustrem i czesze swe polyskliwe, miękkie, czarne włosy. Potem szcztokuje je starannie, by się rozprostowały i ułożyły naturalnie. Alita nie traci czasu na poprawianie urody. Lekko tylko, japońskim pedzelkiem podkreśla owal oczu, zaś konturową ręką zaznacza granice stworzonych do miłoścy ust. Alita wie, że jest ładna, nawet więcej niż ładna, zgrabna, smagła kobieta. Zaraz wyjdzie na miasto, gdzie jest jego telewizor — ten odpowie jej, że „właśnie jest w naprawie”, choć wszyscy wiedzą, że Pablo nigdy nie miał telewizora, bo i za co miałby go kupić. Wszystkie pieniądze traci na arak kokosowy. To był główny powód, że Alita nie wyszła za Pablo. Dostać się w dzieciństwie napastrzyła na ojca, który każdego wieczora siedział przed sari-sari, przed różnym sklepikiem i spał się do nieoryzowności litrami ginu.

Rybny targ. O tej porze przywożą tu poranny połów rybny. Znają cni Alite i Alita zna ich. Więc młoda kobieta nie musi się targować, walczyć o towar. Alita jest ich suką — stałym klientem. Wiedzą, czego Alita szuka, co chce kupić i z wczesną jej towar przygotowują. A towar kupuje Alita zawsze ten sam. Są to małe rybki, te najtańsze i najprzeróżniejsze żyjątka morskie, uważane przez wielu za odpady. Ale za te pieniądze, którymi dysponuje Alita, niczego lepszego się nie kupi. A poz: tym stali klienti (suki) Ality droższego towaru nie kupią. Bo Alita zanosz swój towar z talipapa do dzielnicy biedoty. Biedni nie wybrzydzą, wiedzą na co są skazani, co najwyższ wzdzięcznym słowem i uśmiechem obdarzą kobietę (bo czym więcej, jak forsę nie ma?), która im ułatwia i tak wystarczą trudne życie.

W tym czasie, gdy Alita ciągnie za sobą wypchany bambusowy kosz pełen ryb, Gregorio podjeżdża „jeepneyem” w okolice portu. Jak wreszcie tajfun rozniósł się pośród

kierowców wieść, że przy nabrzeżu przycumował statek „Priamurie”, przypłynął nim do Manili rotacyj. Właśnie wczoraj jeden z nich „Skopeczek”, zamiast — jak wskazywał licznik — 5 pesos, zapłacił 50 i reszty się nie dopominał. Może teraz polska fantazja i gest trafi na Gregoria? Jeździ więc Gregorio w okolicach portu, co zobaczy jakiegoś białego, zwałnia i zapraszającym gestem otwiera drzwiczki samochodu. Ale niestety. Wśród Polaków „Skopeczek” jest tylko jeden, który tak zburzował filipińskich kierowców, pozostawiając po sobie wspomnienie krezusa i nadzieję dla Gregorio, że i jemu także zaświeci słońce i kiedyś trafi się hojny klient. Alita już sprzedała pierwszy kilogram ryb. Pierwsze pieniądze ucałowała, by inne tym przyjaznym gestem zaprosić także do siebie.

Gregorio na razie nie miał klienta. Jest w punkcie zerowym.

Antonio zaczyna budzić Iluminadę i Eduarda. Jest najstarszym, więc na nim teraz, gdy rodzice zarobkują, spoczywa obowiązek obudzenia i nakarmienia rodzeństwa. Iluminada i Eduardo dostają ryż — ten od wczoraj — i owoce. Banany, kokosy, pomarańcze są najtańszym pożywieniem. Iluminada, która śpi na podłodze z młodszym bratem bez żadnego odzienia, teraz gdy wstaje z maty, krzyguje się i każe chłopcom opuścić sild. Chłopcy nie sprzeciwiają się siostrze, wychodzą na zewnątrz budynku i na oczach wszystkich zalecają swoje potrzeby. Doby kloaczek, które stanowią ubikacje dorosłych, ze względu na odrzucający odr i brak zabezpieczenia nie są przeznaczone dla dzieci. Dla dzieci są krzaki, lub cienisty pień palmy.

Jest coraz większy upał. Temperatura, mimo że jest listopad, wczesny raneł, ponad plus dwadzieścia stopni Celsjusza. Listopad nie jest najgorętszym miesiącem w Manili. Najgorzej jest w maju, w kwietniu, a nawet w marcu. Wtedy średnia temperatura wynosi 29,6 stopni. Dobrze, że choć w tych miesiącach mało pada. Najwięcej opadów notuje się w lipcu, sierpniu, wrześniu. Na 30 dni 22 to dni słoneczne. Najsilniejsze wiatry, okres tajfunów, cyklonów przypada na sierpień, wrzesień, październik. Wtedy nagły podmuch wiatru zrywa dachy, powoduje powodzie. W ciągu ostatnich 32 lat zarejestrowano na Filipinach 123 silne tajfuny. 16 procent z nich przeszło w promieniu 120 kilometrów od Manili. Na terenie samej Manili zarejestrowano tylko w jednym, 1971 roku, 27 tajfunów.

Iluminada już się ubrała. Podobna do matki, zgrabna, o melancholijnych międłowych oczach, już się podoba chłopakom. Ma dziesięć lat i chodzi do czwartej klasy. Eduardo jest o rok starszy, wieszcznie poobijany i chce zostać koniecznie bokserem.

Od czasu, gdy w Manili walczył o tytuł mistrza świata Cassius Clay z Joe Freizerem, wszyscy chłopcy chcą zostać bokserami i to takimi jak Mohamed Ali. Eduardo wraca więc często z podbitym okdem i wtedy szuka rątku u mamy. Ojciec bowiem chciałby, by młodszy syn poszedł w jego ślady i został kierowcą. Może kie-

dyś uda się Gregorio kupić „jeepneya” i to z wieloma figurkami koni na masce, co oznacza, że wóz jest szybki jak rączy rumak, to wtedy zostawiłby wóz dla Eduarda, który nie musiałby pracować dla Filino, tylko pieniądze miałby dla siebie. Na Antonia Gregorio przestał liczyć. Najstarszy syn rzucił szkołę po ukończeniu piątej klasy i teraz włóczy się po mieście, od czasu do czasu przynosząc do domu zarobione pieniądze. Mówi, że jest czystobutem. Ale kto to wie. Takie to myśli nachodzą Gregoria, gdy wyczeluje, jak do tej pory bezskutecznie, na pierwszego pasażera. Wreszcie coś się ruszyło. Jest pierwszy kurs. I to niezły, w kierunku ementarza żołnierzy amerykańskich. Może ten dzień będzie szczęśliwy?

Antonio w tym czasie jest już w centrum Manili. Kręci się wokół ruchliwych miejsc w dzielnicy hoteli i restauracji. Chowa się przed skwarem w cieniu palm i wypatruje nadjeżdżających samochodów. Właśnie podjechał czerwony Ford-mustang. Antonio jak błyskawica jest już na nogach i nim właściciel, auta zasył z niego wysiąść, Antonio już otwiera drzwiczki i proponuje wycieczkę auta i przypilnowanie go. Właściciel, w modnej wojskowej koszuli z dziesiątkiem naszytych kieszeni, kłapek, napisów i ozdób, zna zwyczaj w Manili, więc wolno nie ryzykować. Nie da chłopcu jednego pesos, to ten mu z zemsty zadrapie gwoździem całą karoserię. Strata będzie większa. Lepiej się okupić, na wszelki wypadek zgodzić się na ten wymuszony haracz. Antonio zarobił już jednego pesos i jak będzie miał dobry dzień, może dojść nawet do dziesięciu. Ale nie jest to takie proste, bo portierzy hotelowi znają już Antonia i gonią go, jak tylko go zobaczą. Najgorszy jest stary portier w hotelu Victoria. Sam już nie może biegać, to zaraz dzwoni po policjantów, a ci się nie patyczkują. Wyjmują swoje czarne drewniane pałki i biją gdzie popadnie.

Gregorio ma szczęście. Już jedzie z piątym klientem. Mimo, iż zbliża się południe i powoli ruch ustaje, wszyscy kryją się przed słońcem w domach, on ma znowu pasażera, który każe się wieść pod Banco Filipinas.

Tymczasem Alita skończyła sprzedawanie ryb. Zostawiła dla siebie 5 sztuk na obiad i postanawia udać się w kierunku domu. Mija stragany z plecionymi koszykami z wyrobami z bambusa. Alita zatrzymuje się jednak przy wyrobach z drewna. Zestawy talerzy, półmiski do owoców w kształcie jabłek, cytryn, owoców mango, gładko wytoczone w mahoni, lub w narze, figurki filipińskich rybaków — no i maski. To wszystko — choć przeznaczone głównie dla turystów — zachwyca Alite. Kiedyś, jeszcze zanim jej ojciec zginął na wojnie, oglądała jak rzeźbił przed domem takie figurki. Potrafiła całymi godzinami kucnąć przed matą, na której ojciec rozłożył narzędzia i drewno i wpatrywać się jak spod zręcznych palców, dłuta i noża wyrastają drewniani ludzie. Czasem, gdy ojciec wszystko sprzedał, miał dobry humor i trochę wolnego czasu

— to specjalnie dla Ality drewnianą laleczkę wyrzeźbił.

Alita bardzo kochała te pamiątki po ojcu-rzeźbiarzu, ojcu-żołnierzu, który poszedł bić się z Japończykami i już nigdy nie wrócił do swego domu, do swej córki Ality i kłoczków nara, akacji, które czekały na niego, by znow wskrzesił z nich drewnianych ludzi. Alita bardzo by chciała, by Antonio się wreszcie ustatkował i może coś zaczął rzeźbić. Narzędzia ojca, zawinięte w plastikowej torbie, Alita przechowuje bardzo starannie. Kiedyś znalazł je szperający po wszystkich kątach Antonio i wyrzeźbił popielniczkę. Nawet była niczego sobie. Ale potem Antonio się zniechęcił, rzucił w ką narzędzia, tak że Alita z trudem je znalazła i schowała.

Przechodzi Alita koło straganów z wyrobami z drewna, patrzy na ozdoby wyplecione z jutowego sznurka farbowanego na różne kolory i coraz ją większa chęć bierze, by napić się piwa, chłodnego, prosto z zamrażarki piwa Saint Miguel. Jednego, jak mówili żołnierze amerykańscy, z najlepszych na świecie. Alita przelicza w myślach zarobione pieniądze. Będzie około 25 pesos. Sporo. Więcej niż wczoraj. Więcej o jedno pesos, a właśnie tyle kosztuje piwo. Alita decyduje się szybko. Zaraz pójdzie na róg Juan Luna i Leoban Street, zaczeka aż Gregorio podejmie swoim „jeepneyem” i odda jej zarobione pieniądze. Tam nie może się spóźnić, bo ma być zły, nie zaczeka i z tej złości wieczorem częściej, a może i cały zarobek przepije z kolegami. Codziennie o 12-tej Alita czeka na umówionym rogu. Jest zazwyczaj kilka minut wcześniej. Jak każdej kobiecie, nie brak jej cierpliwości wtedy, gdy trzeba czekać na pieniądze.

Gregorio już wie, że się spóźni. Nie zdąży na dwunastą. Stracił sporo czasu bezskutecznie poszukując mężczyzny, który zniknął w małych, krętych uliczkach przedmieścia Manili, nie zapłaciwszy za kurs z centrum. Gregorio jest stranny. Ale nie to go denerwuje. Zły, że dał się nabrać, że ktoś wystrychnął go na dudka. Przecież mógł przewidzieć, że facet może go naciąć. Jak tylko wszedł do wozu, Gregorio czuł, że jest to jakiś lewy gość. Usiadł z tyłu, rzucił adres i ani słowem się nie odzywał. Gregorio próbował go kilka razy zagadać. Najpierw o pogodę, potem o stan wyjątkowy, który tak utrudnia życie, ale pasażer milczał nie przejawiając jakiegokolwiek ochoty do rozmowy. Gregoria to zdziwiło, bowiem jego rodacy są na ogół weseli, skory do rozmowy. Może go coś boli, może ma jakieś zmartwienie i dlatego jest taki posępny — pomyślał Gregorio i już więcej nie próbował nawiązać rozmowy. Gdy zbliżyli się do celu podróży, mężczyzna jakby się ożywił, zapalił długiego, cienkiego, ciemnego jak cygaretki mentolowego papierosa i zaczął baczenie obserwować ulicę. Przy najbliższym skrzyżowaniu, gdy Gregorio musiał zwolnić, zwręcznie wyskoczył z wozu i nim się Gregorio zorientował, już zniknął za rogiem. Wprawdzie natychmiast Gregorio zaczął krzyczeć, prosząc przechodniów o pomoc, ale nim ludzie usłyszeli nawoływania, nim Gregorio znalazł miejsce na zaparkowanie „jeepneya”, sprawa była przegrana. Gregorio wściekle, chodził po uliczkach, zaglądał do barów, kawiarni do sari-sari, narażonych sklepików, ludząc się nadzieją, że może odnajdzie oszusta. Gdy wreszcie stwierdził, że to szukanie nie ma sensu, zorientował się, że już jest późno, że na pewno Alita czeka już na rogu Juan Luna i Leoban Street. Przycisnął mocniej gaz i omal nie zderzył się z Taxi-love. Taksówką miloczną, która czerwonym, z daleka widocznym napisem, reklamowała swoje usługi. Kierowca taksówki pogroził mu palcem i uśmiechnął się przyjaźnie. To go uspokoiło.

Postanowił nie mówić Alicie o tym, co mu się przydarzyło. Dział trochę dłużej pojeździł, to strata nadrobi. Alita z dala poznała „jeepneya” Gregoria. Machała ręką, by maż zobaczył, w którym miejscu czeka na niego. Potem się zapytała — no, jak ci poszło — na co Gregorio odpowiedział, jak co dzień — dobrze, a jak tobie? I Alita odpowiedziała takim samym stereotypem — nieźle, wszystko w porządku. Gregorio nie wyliczył silnika, tylko podał żonie 10 pesos i kończąc te zdawkową wymianę zdań krótkim — będę wieczorem! — ruszył na trasę. Alita odprowadza wzrokiem odjeżdżającego męża, dodaje 10 pesos do 25 zarobionych na targu i już wie, że nie tylko starczy pieniędzy na następny dzień, ale także i na piwo, o którym marzy od godziny. Na samą myśl o łagodnie ciepłym, chłodnym piwie robi się jej rażniej, a jednocześnie odczuwa dziwny niepokój. Jakby w klatce piersiowej trzępotał się mały gołąb. Jakby miała przeczucie, że druga połowa dnia przyniesie jej, wraz z butelką Saint Miguela, coś niespodziewanego, nieoczekiwanego.

AWARIA

Miasto egzystuje właściwie dzięki swoim podziemnym korzeniom. Te korzenie to płatanina rur, kanałów, przewodów, kabli. Są one nerwami murowanego olbrzyma — gdy choćby jeden z nerwów zaatakowała choroba np. korozja lub gdy człowiek brutalnie go uszkodzi — jakaś część murowanego olbrzyma ulega beznadziejności.

Łódź poddawana jest kuracji upiększającej, coraz częściej budowniczo wie wkraczają do najstarszej dzielnicy miasta — Śródmieścia. Stare kamienice znikają jak uprzykrzona brodawka. W tej operacji piastycznej skalpelem „lekarzy” tzn. budowlańców jest koparka, dźwig, buldożer. Zabieg więc przy użyciu takich narzędzi wymaga doskonałej znajomości anatomii miasta, gdyż inaczej może zdarzyć się awaria.

Dziewiętnastego stycznia br. tuż po godzinie dziesiątej — zanemówiły całe Stoki. Wszystkie telefony — zamilkły. Urwały się w połowie zaczęte rozmowy. Najgorsza sytuacja była w szpitalu Sonenberga. W każdej chwili mogła być potrzebna krew dla ciężko chorego, mogła zająć pilna potrzeba przetransportowania pacjenta, sprawdzenia specjalisty i w każdej godzinie wyniknąć mogło kilka innych spraw, które zwykle załatwiano telefonicznie. Lekarze znaleźli receptę na telefoniczną głuchotę. Przed szpitalem ustawiono karetkę pogotowia, z której przez radiotelefon szpital, z odciętej dzielnicy, utrzymywał łączność z miastem.

Na Stokach znajduje się jednak wiele innych instytucji potrzebnych miastu i sieć handlowa zaopatrująca mieszkańców. I tu inwencja wyszła naprzeciw potrzebie — zamówienia od kierowników sklepów odbierał dyspozytor objeżdżający placówki samochodem.

Perturbacji wynikało znacznie więcej — np. po pogotowie ratunkowe do chorych jeżdżono taksówkami lub tramwajem, ale nie sposób wszystkich przytoczyć.

Dlaczego tak się zdarzyło? W rejonie ul. Nowotki trwa budowa szpitala klinicznego Akademii Medycznej. Inwestycji o niebagatelnym znaczeniu dla łódzkiego leśnictwa. Jednym z podwykonawców budowy jest Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich. W związku z tą budową do ul. Nowotki prowadzony jest wykop. Oczywiście takie prace ziemne robi się dziś przy użyciu sprzętu mechanicznego — koparki. Pewien odcinek rowu, tuż przy ruchliwej ulicy, w pobliżu terenu uzbrojonego powinien być wykopany ręcznie — właśnie po to aby nie uszkodzić sieci kanalizacyjnej, wodociągowej itp. Kierownik budowy wydał polecenie kierowcy koparki z Łódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Maszynami Budowlanymi prowadzenia pracy nie sprawując planu uzbrojenia terenu. Operator koparki chcąc zrobić skarpę wjechał na teren uzbrojony i pierwszym uderzeniem rozbił wiązkę kabli telefonicznych.

W ten prozaiczny sposób 700 abonentów telefonicznych na Stokach w tym kilka ważnych dla życia miasta i dzielnicy instytucji zostało odciętych od reszty miasta.

Urząd Telekomunikacji wystąpił do Prokuratury Rejonowej Łódź-Widzew z wnioskiem o pociągnięcie do odpowiedzialności karnej osób ponoszących winę za awarię. W toku śledztwa ustalono, że winę za spowodowanie awarii ponosi kierownik robót Łódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynierskich 35-letni technik budowlany Edward S. Jako kierownik robót miał obowiązek zapoznania się z planem pełnego uzbrojenia terenu.

Kierownik miał plan — nie było jednak na nim uzbrojenia a więc i wiązki kabli telefonicznych. W dyrekcji budowy był jednak inny bardzo podobny plan, na którym obok zaznaczenia kabli energetycznych, przewodów gazowych naniesione było położenie kabla telefonicznego. Ponieważ plany muszą być czytelne (a także z innych względów) nie sposób zaznaczyć na nich całego podziemnego uzbrojenia, gdyż byłyby także mało czytelne.

W rezultacie przeciwko Edwardowi S. powstaje w prokuraturze akt oskarżenia za naruszenie paragrafu 217 Kodeksu Karnego. Przepis przewiduje zagrożenie pozbawienia wolności od 6 miesięcy do 5 lat. W zależności od wagi sprawy.

A straty z tytułu awarii wynoszą 170 tys. zł. Wliczono w nie koszty robocizny, materiałów i utracony przez telekomunikację zysk — za połączenia telefoniczne. Oczywiście są to straty przybliżone. Nie sposób bowiem z ołówkiem w ręku wyliczyć wszystkiego co się stało i co mogło się zdarzyć, gdyby np. w ciągu tych 2 tygodni, w czasie których Stoki pozbawione były łączności wybuchł tam pożar, trudno przewidzieć jak wysokie byłyby wtedy koszty lekomyślności i niedopełnienia obowiązków.

ADAM LEWASZKIEWICZ

Dokładnie nie wiadomo, co spowodowało jego ocknięcie się. Czy powodem było gwałtowne stęknienie całego globu, czy też napływające zaraz potem fale coraz słabszych drżeń? Nie wiadomo. Faktem jest jednak, że zadziałał precyzyjny i czuły mechanizm organizmu — organizmu, w którym przez eony upływającego czasu tliła się jedynie wążka iskierka życia czekającego na taką właśnie jak ta okazję. Wypracowany przez ciąg nieskończonych przeobrażeń ewolucyjnych program został włączony do realizacji. Rozpoczął się powolny proces przywracania do życia.

Pozornie nic nie uległo zmianie. Glob był tak samo pusty i martwy jak przedtem. I nawet najczulsze przyrządy nie zdołałyby wykazać, że coś jest nie tak jak było. A jednak zmiana jaka nastąpiła po ocknięciu się była istotna, choć niezauważalna: rozpoczął się coraz intensywniejszy proces przesyłania informacji, tak istotny ze względu na swą funkcję organizującą i integrującą.

Ludzie, którzy przybyli na ten glob w nadziei nawiązania pierwszego w historii kontaktu z pozaziemskimi istotami inteligentnymi byli srodze zawiedzeni, gdyż już w krótkim czasie po spenetrowaniu całej planety zdołali się przekonać, że nie ma tu nawet śladu życia; nie ma nawet najdrobniejszych oznak istnienia materii organicznej. Fakt ten był tym bardziej przygnębiający, że wiele obserwacji i faktów znanych na Ziemi zdawało się przemawiać za hipotezą, że tu właśnie gnieździ się życie inteligentne, z którym być może uda się nawiązać kontakt. Teraz, po kilku tygodniach intensywnych prac i po kompletnym fiasku, jeśli chodzi o główny cel ekspedycji załoga przygotowywała pojazd do powrotu na ojczyzną Ziemię.

Dwóch mężczyzn i jedna kobieta krzątało się wokół srebrzystego kadłuba rakiety i wykonywało zwykłe w takich chwilach czynności. Pod wieczór krzątanina ucichła, wiał do rakiety został zaryglowany i rozpoczęło się systematyczne sprawdzanie mechanizmów statku. O wyznaczonej porze rakieta uniosła się w górę i pomyknęła w przestrzeń: rozpoczął się długi powrotny lot na Ziemię.

W niedługi czas po starcie Kobieta zauważyła, że jej towarzysze są inni niż zwykle, jak gdyby byli zupełnie nieznani jej ludzi. Najpierw przestali ją pozdrawiać przy spotkaniach, potem przestali zupełnie reagować na jej obecność, a gdy mówiła coś lub zadawała im pytanie, nie odpowiadali ani słowem. Dowódca nigdy na nią nawet nie patrzył, a gdy zdarzyło się jej znaleźć na linii jego wzroku, patrzył na nią jak przez powietrze. Drugi był jakby odrobinę inny. Czasem zatrzymywał wzrok na jej twarzy i jak gdyby ją rozpoznawał. Stany takie trwały jednakże bardzo krótko. Zmiany widoczne w zachowaniu Dowódcy i Drugiego następowały powoli, lecz były coraz bardziej niepokojące. Kobieta zaczęła się poważnie niepokoić o stan umysłowy obu mężczyzn, lecz mimo swego długoletniego stażu lekarza i ogromnego doświadczenia nie umiała postawić diagnozy.

Niedługo potem, zupełnie niespodziewanie Dowódca zniknął. Było to tak nieprawdopodobne, że było dla Kobiety zupełnym szokiem, tym bardziej że Drugi zachowywał się jak gdyby zniknięcie Dowódcy uszło jego uwagi. Kobieta przeszukała tych kilka pomieszczeń, które stanowiły część mieszkalną rakiety i nie natrafiła na nic, co mogłoby pomóc jej wyjaśnić zagadkę. Po kilku bezowocnych próbach porozumienia się z Drugim dała za wygraną, tym bardziej że zaczęła podejrzewać, że on sam mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Dowódcy. Myśl ta przeraziła ją swoją potwornością a jednocześnie napęliła jej mózg i ciało paraliżującym strachem, który odebrał jej chęć do podejmowania jakiegokolwiek działań. Czula, że na statku dzieje się coś bardzo niedobrego, że grozi jej nieznane niebezpieczeństwo. Czula też, że jeśli ten stan potrwa dłużej, to opanuje ją histeria, a wtedy już zupełnie straci kontrolę nad sobą. W takiej sytuacji tylko pomoc z Ziemi mogła ich uratować.

W pomieszczeniu komunikacyjnym było cicho i przytulnie; monotonne mruczenie przyrządów dodawało Kobięcie cichy. Wszystkie odczyty przyrządów były prawidłowe, statek był na kursie. Kobieta zaczęła się

powoli uspokajać. Jeszcze raz, z największą uwagą sprawdziła wskazania przyrządów. Odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziła ponad wszelką wątpliwość, że wszystko było tak jak trzeba. — Co, u licha, wobec tego dzieje się na statku? — pomyślała.

Kobieta sięgnęła po książkę pokładową, otworzyła ją i zaczęła czytać. W miarę czytania stawała się coraz bardziej skupiona i poważna. Na koniec z jej piersi wydarł się cichy jęk.

— O, Boże! Czyż to możliwe?

Tymczasem na Ziemi, odległej od statku o miliardy kilometrów z uwagą śledzono wszystkie szczegóły wyprawy. Prasa, radio i telewizja na bieżąco informowały opinię publiczną o sukcesach i niepowodzeniach.

by zapewnić im maksimum szans na bezpieczny powrót do domu. Wszystkie okoliczności zdają się wskazywać na to, że po wysłaniu tych meldunków cała trójka stanowiąca załogę statku kolejno udała się do komór hibernacyjnych, gdzie będą przebywać do czasu przybycia w okolice naszego systemu planetarnego.

Pozwól koleszy, że w wielkim skrócie przypomnę wnioski, do jakich doszliśmy rok temu, po otrzymaniu tych niepokojących wiadomości. Spośród wielu hipotez mogących tłumaczyć dziwne zachowanie się załogi statku, ostała się tylko jedna. Zakładała ona, że statek nawiązał kontakt, a właściwie to kontakt został

ła dziwne zachowanie się załogi świadomymi zakłóceniami w przesyłaniu informacji, powodowanymi przez nieznaną istotę. Dla uzyskania pewności potrzebne nam były dodatkowe dane. W związku z tym zdecydowaliśmy się na wysłanie w kierunku statku superszybkiej sondy badawczej, która miała dostarczyć dodatkowych informacji.

I oto dziś mogę kolegom oświadczyć, że dysponujemy danymi, które nie pozwalają dłużej wątpić w prawdziwość naszej hipotezy. Wysłana przez nas sonda DVX-34 stwierdziła pewien przyrost masy Columba — fakt przewidziany również przez hipotezę — oraz zarejestrowała silne fale interferencyjne zakłócające przepływ informacji w kanałach informacyjnych. Ponieważ nasza hipoteza przewidywała również i to zjawisko, sonda DVX-34 została specjalnie zabezpieczona przed szkodliwym działaniem podobnych fal. Pomimo tego została jednak w krótkim czasie zniszczona.

Z danych, które zdołały do tego czasu nadejść wylania się następujący obraz. Nieznany nam bliżej organizm, który opanował statek, a powiedziałbym nawet, że sam statek jest teraz częścią tego organizmu, jest istotą, która jak paszczyt przemieszcza się po kosmosie w poszukiwaniu źródeł energii. Cechą tego organizmu jest to, że dezorganizuje on wszelkie zewnętrzne sieci informacyjne zakłócając ich działanie i w konsekwencji doprowadzając do ich dezintegracji. Pojawienie się takiego organizmu na Ziemi może oznaczać tylko jedno: śmierć rodzaju ludzkiego. Dlatego też stawiam jeożny możliwy w tej sytuacji wniosek: należy zniszczyć rakiety i wszystko, co się w niej znajduje zanim znajdzie się ona na peryferiach naszego układu.

— Nie zgadzam się z szanownym panem profesorem — głos innego uczzonego, Jana Kowalskiego, zabrzmiał wyraźnie i dobitnie w ciszy, która zapadła po słowach Bielousowa. — Nie zgadzam się z następujących powodów: po pierwsze, na statku znajdują się trzy istoty ludzkie, których życiem nie wolno nam rozporządzać. Po drugie, ludzkość czekała na kontakt z istotami pozaziemskimi przez stulecia. Obecnie mamy szansę taki kontakt nawiązać i nie wolno nam jej nie wykorzystać. Po trzecie, przechodzę teraz od argumentów ogólnych do argumentów dotyczących samej hipotetycznej natury nieznanego organizmu — po trzecie więc, nie możemy być całkowicie pewni, że jest to istota nam wroga lub też, że jest wroga z natury. Została, co prawda zniszczona sonda DVX-34 lecz ostatnie meldunki nadane przez członków załogi dotarły do nas bez zakłóceń. Docierają też do nas ze statku ciągle dane telemetryczne. O ile nam wiadomo, żyją i są zdrowi wszyscy członkowie załogi, choć nie potrafią się wzajemnie ze sobą komunikować. Wszystko to powinno nas skłaniać do niezwyklej ostrożności w podejmowaniu kroków ostatecznych, za które będziemy odpowiedzialni przed ludzkością zarówno teraz jak i przed historią. Stawiam wniosek o podjęcie próby kontaktu, zgodnie z dyrektywą C-001. Nie wolno nam postępować w myśl zasady głoszącej, że każdy, kto jest inny niż my jest automatycznie naszym wrogiem.

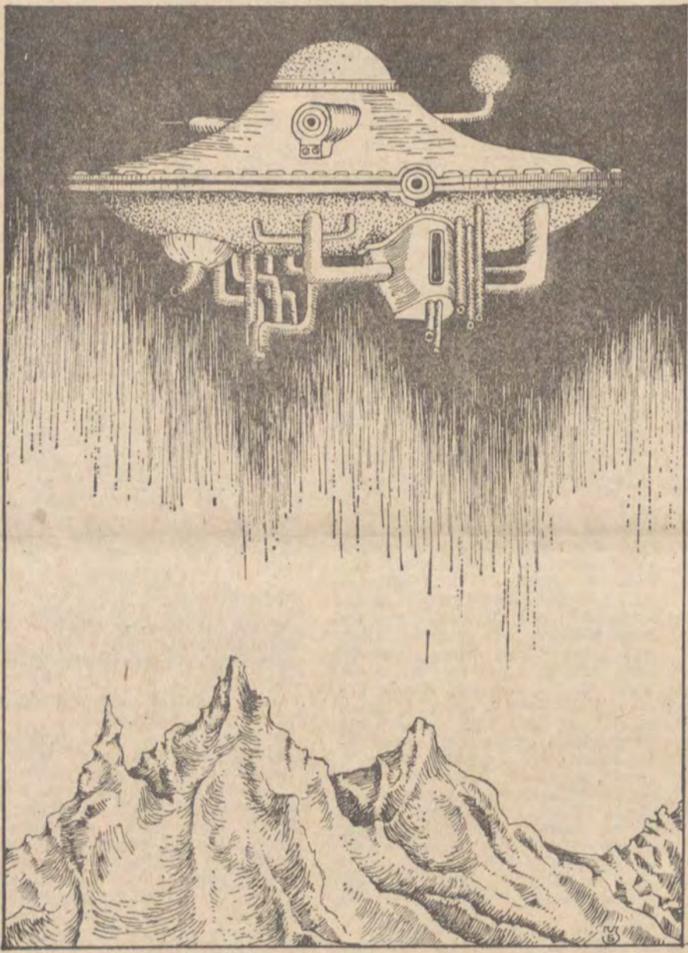
Stanowiska innych uczonych były podzielone, przy czym poglądy Bielousowa i Kowalskiego były charakterystyczne dla zarysowanego się podziału opinii na dwie przeciwstawne grupy. W charakterystyczny dla Ziemi sposób debata przeciągała się, przeniosła się na łamy gazet, na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych i w końcu każdy pozostał przy swoim.

W międzyczasie nadano sygnał mający uruchomić urządzenie wyprowadzające załogę Columba ze stanu hibernacji i przesłano na statek dane, z których załoga mogła się dowiedzieć szczegółów o toczącej się debacie. Niedługo potem odebrano z pokładu Columba trzy meldunki o identycznej treści:

„Podjęto próbę kontaktu według dyrektywy C-001, niestety, dotąd bez rezultatu. W związku z wejściem w pobliże Układu Słonecznego poniechano dalszych prób i przeprowadzono korektę lotu statku, w wyniku której mknie on w kierunku gwiazdozbioru Wieloryba. Żegnaj Ziemi! Na zawsze!”

WŁADYSŁAW KRAKUS

KONTAKT



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dobrane grono uczonych stale nadzorowało przebieg wyprawy odbywając regularne spotkania robocze, którym zazwyczaj przewodniczył znany fizyk, laureat nagrody Nobla, profesor George Bielousow. Tak było i tym razem. Sławny profesor zagaił zebranie.

— Szanowni koleszy! Dzisiejsze nasze spotkanie będzie brzemienne w decyzje, gdyż sprawa, którą staraliśmy się rozstrzygnąć przed rokiem zdaje się nie budzić już wątpliwości. Jak kolegom wiadomo, rok temu otrzymaliśmy niepokojące meldunki z pokładu statku Columbus powracającego z wyprawy po wykonaniu zaplanowanej penetracji planety X. Wszyscy członkowie wyprawy wysłali, jak sobie przypominamy, po jednym meldunku o prawie identycznym brzmieniu, w którym każdy donosił, że pozostali członkowie załogi pod wpływem nieznanego przyczyn zmieniili się w swoim zachowaniu tak dalece, że nie jest możliwe jakiegokolwiek porozumienie się z nimi. W tej sytuacji tylko pomoc z Ziemi mogła-

nawiązany ze statkiem przez istotę mającą cechy organizmu żywego jednakże o zupełnie innym charakterze niż znana nam materia ożywiona. Czynnikiem integrującym i organizującym w tym organizmie miała być informacja. Organizm taki mógłby przetrwać przez czas nieskończenie długi w formie utajonej. Następnie, znalazłszy się w warunkach pozwalających na korzystanie ze źródeł energii, mógłby zacząć się rozwijać i reprodukować, przy czym budulcem używanym przez ten organizm mogłaby być jakakolwiek materia nieożywiona.

Założyliśmy, że organizm taki, pobudzony do działania przez wstrząs wywołany lądowaniem rakiety mógł się, że tak powiem, „zabrać na gapę” w podróż powrotną na Ziemię. Byłby on więc czymś w rodzaju pasożyta, którego rakieta mogłaby nam przywieźć na naszą planetę. Niezwykle istotne było więc ustalenie charakteru tego organizmu, przewidzenie ewentualnych skutków jego rozpanoszenia się na Ziemi, itp. Sprawa jednak zasadniczą było zweryfikowanie prawdziwości samej hipotezy dopuszczającej istnienie takiego tworu i jego obecności na Columbusie. Otóż przyjęta przez nas hipoteza wyjaśnia-

KSIĄŻKA

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

NIE JAK LIŚĆ...

Nowa książka Leszka Proroka nosi, niechym postacie z Prologu „Kordiana”, „sprzeczne z naturą nazwisko”. Liść jest symbolem bezsilności, bezwoli, uległości wobec łada powiewu, tymczasem każde z opowiadań tego tomu autor poświęca właśnie pochwałę sily woli oraz wyboru decyzji heroicznej w miejsce racjonalnej, łatwej, lecz nieambitnej. Dzięki woli nasze człowieczeństwo — przekonuje Prorok — zdolne jest odnieść zwycięstwa nad przeciwnościami nie tylko niezmiernie ciężkimi, lecz nawet ostatecznymi. Wielokrotnie są w tomie „Jak liść” fronty walki, lecz stawka przegranej, choć ich obiektywna wartość bywa mocno różnicowana, dla podejmującego walkę będzie zawsze stawką ceny najwyższej.

Bohater opowiadania „Letni sztorm” w wieku już senioralnym, aby uzyskać pełną samowiedzę o sprawności i wytrzymałości, poddaje ostrej próbie swe sily fizyczne i psychiczne, biorąc udział w młodzieżowym rejsie żeglarskim w charakterze szeregowego członka załogi. Podczas rejsu pokonuje ciężkie przeszkody przewidywane i całkiem nieprzewidziane. Do pierwszych należy, jak niemiłosiernie się domyśla, próba sił z mocami przyrody, zwłaszcza podczas ciężkiego sztormu na Bałtyku, podczas którego pełni służbę na pokładzie sprawnej od niejednego z młodziaków. Należy też do nich przewyższenie obojętnej między pokoleniowej i adaptacja do środowiska dwudziestolatków, a także pogodzenie się ze swą podrzędną rolą w jachtowej hierarchii, chociaż na ładzie bohater, jak sugeruje autor, posiada niemałą pozycję w życiu intelektualnym kraju. Tę zaś nieprzewidzianą a niemałą komplikacją (zwłaszcza, że czas zaskoczył go w wieku tzw. niebezpiecznym) stało się znalezienie się na równi pochyłej do zakochania i rozkochania w sobie młodej dziewczyny. Na szczęście bohaterowi dopi-

kuje wola, a rozsądek stosunkowo szybko (choć już... po akcie miłosnym — nb. sama scena znakomita, bo niepruderystyczna, a jednocześnie pozbawiona naturalistycznych dosłowności) przywraca mu świadomość, że jest człowiekiem żonatym i głową normalnie szczęśliwej rodziny oraz że kontynuowanie romansu bez perspektyw zniszczy jego partnerkę przyszłości. Odnosi więc jeszcze jedno zwycięstwo — tym razem wyłącznie już nad sobą. W sumie więc bohater ma na rozkładzie trzy walne zwycięstwa, autor jednak, niestety, tylko jedno: przedstawienie z dużym dramatyzmem, sugestywnością i interesującą mikropsychologią — walki ze sztormem. Na pozostałych frontach zmagania bohatera zgiełk walki jest raczej zgiełkiem na autorskie słowo honoru — tak jest wyciszony, że słyżałby... szelest papieru.

W opowiadaniu „Bo u nas zawsze tak” nierówną, a opierając rzecz o rachunek prawdopodobieństwa — nawet beznadziejną walkę ze sztormem na absolutnie nieprzystosowanej do nawigacji morskiej żaglówce toczy były kapitan sportowej żeglugi morskiej (nie wiem, czy to się tak dokładnie nazywa, ale mocniejszy w z pewnością w nomenklaturze żeglarskiej czytelnik domyśli się z pewnością, o jaką specjalność chodzi). Toczy ją zaś dla rehabilitacji w oczach przede wszystkim własnych po sprzeniewierzeniu się przed parulaty — w sytuacji: Samson — Daliła — etyce żeglarskiej i dewizie, że „navigare necesse est”. Nie będe, rzecz jasna, streszczać skomplikowanego opowiadania, pomijam więc inne, mało istotne dla problemu, przy czym wyjątkowo ryzykanckiej decyzji kapitana. Ważne, że dzięki ogromnym umiejętnościom i hartowi, a przede wszystkim pasji wygrania, co było dlań równoznaczne ze zmyciem tamtej hańby, doprowadził szczęśliwie żaglówkę na miejsce

przeznaczenia. Tym razem sukces kapitana dzieje się w pełni i autor. Poetyka utworu znakomicie przylega do dramaturgii wydarzeń, a także wyraziście podkreśla krańcowe napięcie nerwowe bohatera. Jest to poetyka luźnych, rwanych scen, przemienności czasu, zawężonej aż do bólu składni, celowo nie wykańczających obrazów.

Od marynistycznych opowiadań pozornie zupełnie odbiega „Tamtą sień”. Jak najdalej od spraw sportu. Odbiega pozornie, bo rzecz też o zwycięstwie, i choć ukazane zostało w sztafażu, w którym od czasów „Iliady” ukazywane są przede wszystkim zwycięstwa i klęski dosłowne, fizyczne (tu obrona Warszawy we wrześniu 1939 r.) też o zwycięstwie, jako akcie wewnętrznej. Będzie nim dobrowolny wybór alternatywy heroicznej, w dodatku przez człowieka, od którego nikt tego wyboru nie oczekiwał. A jeżeli, to chyba po drugiej stronie. Prorok odpomina zupełnie nieznaną a szokującą pięknym epizod z kampanii wrześniowej: pewien dyplomata japoński, a więc z państwa należącego do krajów „Osi”, nie opuścił oblężonej Warszawy wraz z odjazdem ostatnich ekip dyplomatycznych. Zrzekł się imunitetu i w imię tego, że jego pozadyplomatycznym zawodem, czy raczej powołaniem, jest medycyna, ratuje bez wtychnienia rannych i dzieli do ostatniej godziny walki, losy drugo-

O ile opowiadanie to góruje nad pozostałymi wartościami ideowo-poznawczymi, utworem, który uważam za jeden z najciekawszych artystycznie w sporym i znaczącym dorobku autora „Drabiny Jakubowej”, jest nbwela tytułowa.

W „Jak liść” dzieje się na pozór bardzo niewiele: młody człowiek, na oko zdrowy i silny, stoi na trampolinie na wysokości trzech metrów od lustra wody i aż do ostatniego zdania boi się oddać skoku. Dopiero w ostatnim, zdecydowanym się, zawiąsa na mgnięcie w powietrzu „jak spadający liść”. Ale owa statyczność i ubóstwo sytuacyjne noweli to tylko pozór. W rzeczywistości mamy do czynienia z całkowitym przeciwieństwem tego stanu rzeczy. Chłopiec okazuje się ślepcem. Uległ wypadkowi w czasie służby w oddziale saperkim przy usuwaniu pozostałych

z wojny min. Jego decyzja — domyślmy się teraz — w tej sytuacji nie tylko nierozsądna, ale nad wyraz niebezpieczna, jest heroiczno-buńczucznym czy sartr'owskim „nie ma zgody na poddanie się losowi”, a wprowadzona w czyn, staje się krańcowym triumfem woli nad instynktem samozachowawczym i ciałem, o którym powiada Pismo, że jest przecież „mdle”.

Mistrzostwo artystyczne Proroka tkwi już w samym zbudowaniu sytuacji, której ocena charakterologiczno-psychologiczna jest uderzająco precyzyjna, w zależności od tego, czy widzimy bohatera z perspektywy plaży, czy też wiemy o jego dramacie. Dodajmy, że nie dowiadujemy się o nim niczego drogą narracji. Autor czyni nas tylko od jakiegoś momentu zaawansowanej już psychometyj odbiorcami jego monologu wewnętrznego, i to w postaci bodaj najtrudniejszej i wymagającej od piszącego, wbrew pozorom, niezwyklej dyscypliny i przedmiotowości, jaką jest „wolny” przepływ potoku świadomości. Dodajmy, że Prorok bynajmniej nie ułatwia sobie zadania przez stosowanie zwyczajowej już konwencji uzyskiwania doznań i reakcji bohatera będącego w stanie świadomości zawężonej. Ślepiec panuje całkowicie nad swym odbiorem świata i postanowieniami i od ludzi całkowicie zdrowych różni go tylko odmienna hierarchia ważności dokonania: dla widzącego oddanie czy rezygnacja ze skoku nie ma przecież istotniejszego znaczenia.

Opowiadania morskie i to o ślepcu zostały nagrodzone wawrzynami PKOl. — instytucji patronującej, o czym dzisiejszy kibic telewizyjny dość często zapomina — bynajmniej nie automatyzmem zwycięstwa grubszych i bardziej wytrzesowanych mięśni. Opowiadanie o lekarzu japońskim w oblężonej Warszawie otrzymało laury Pen-clubu. Wszystkie te opowiadania — wraz z pierwszym, mimo jego częściowych niedostatków — zasługują w pełni na wdzięczne przyjęcie przez czytelnika, do czego gorąco namawiam.

Leszek Prorok — „Jak liść”, Iskry Warszawa 1976, cena 14 zł.

FILM

UPARTY GLINA

Film „Policja dziękuje” w reżyserii Stefano Vanziny można zaliczyć do tego nurtu włoskich filmów politycznych, których akcja toczy się wokół tematu pracy sądownictwa i policji. Przy tej okazji filmy te dokonują krytycznych obrachunków społecznych. „Policja dziękuje” jest jednak dość typowym produktem określonych tendencji epigońskich, które powielając w nieskończoność temat, jaki określił wartość oryginalną prowadzą do uproszczeń napiętnowanych komercyjnymi skłonnościami. Zjawiska te dostrzegamy w ostatnim czasie, zwłaszcza w filmach amerykańskich i właśnie włoskich. I tak np. „Śledztwo w sprawie obywatela poza wszelkim podejrzeniem” i film „Policja dziękuje” dzieli zarówno klasa realizacji jak i ambicja oraz jakość penetracji podjętej problematyki. Film, skłaniając się przy tym w kierunku sensacyjności jej ujęcia, gubi jeszcze jedną szansę, szansę pełnego zarysowania postaci „upartego gliny”, która była na przykład głównym atutem amerykańskiego filmu „Francuski łącznik”. Wspominał ten film nie bez kozery, bo choć główny bohater „Policji, która dziękuje” działa w innej nieco okolicznościach i jako szef Sekcji Zabójstw, a nie szary policjant, pozornie ma większe możliwości owego działania, w istocie jednak sam, jak i ten z „Francuskiego łącznika”, występować musi przeciwko potężnym siłom gangów. Bezsztuczność tego działania jest zaś finałem obu wspomnianych tu filmów.

Komisarz Bertone i jego ludzie tropią przestępców. Jego zadaniem jest ich schwytać i postawić przed sądem. Nie jest to jednak, jak film pokazuje, funkcja prosta. W trakcie swej, określonej przez system życia społecznego, pracy komisarz musi ciągle stawiać czoła prokuraturze, sądom i adwokatom. Określone przepisy ograniczają pole i sposoby działania. Amerykańskie i włoskie filmy polityczne ostatnich lat pokazywały już wielokrotnie, że metody działania policji musiały stać się bliższe metodom gangsterskim, że trzymanie się dziś litery prawa i określenie zasad moralnych jest w walce z przestępczością niemożliwe. Przypomnijmy tu, że temat ten podjął również Marek Piwoński w filmie „Przepraszam, czy tu biją?”.

Film „Policja dziękuje” akcentuje ten aspekt pracy policji, który właśnie wiąże się z jej ograniczeniami, wynikającymi głównie z owej litery prawa, za którą stoi jednak skorumpowany aparat sprawiedliwości. Aresztowany przez komisarza Bertone przestępca zostaje najczęściej w krótkim czasie przez sąd zwolniony i szef rzymskiej policji musi za swą rolę podejmować od nowa.

Taką też sytuacją rozpoczyna się omawiany tu film. Jego autorzy sama intryga budują na dość niezwykłym pomysle. Bezradnemu komisarzowi Bertone przychodzi „z pomocą” tajemnicza grupa ludzi, która na własną rękę wymierza sprawiedliwość. Mnożą się w mieście zabójstwa, ofiarami mordów stają się badź ci przestępcy, którzy aresztowani przez komisarza, przez sąd zostają wypuszczeni na wolność, bądź ludzie będący przedstawicielami tych środowisk przestępczych, wobec których Bertone jest bezsilny: suterenerzy, prostytutki, homoseksualiści. Są to już mordercy symboliczne. Komisarz i jego ludzie muszą w tej sytuacji brać w ochronę tych, których ścigają i tropią tych, których działalność można by rozumieć jako wyraz protestu wobec bezsilności instytucji powołanej do walki ze zbrodnią. Formy tego protestu są jednak wyrazem anarchii i nowych zbrodni. Śledztwo komisarza Bertone ujawnia prawdziwe oblicze owej tajemniczej a kierującej się pozornie własnym kodeksem moralnym grupy mścicieli — reprezentuje ona sily neofaszystowskie, które w swej walce o władzę hwyłają się wszelkich metod i przenikają zarówno do aparatu sprawiedliwości, jak i samej policji. Szlachetna postawa „upartego gliny” skazana jest na klęskę, choć finał filmu sugeruje, że komisarz Bertone znalazł swego następcę.

Z przedstawionych tu uwag wynika, że film Stefano Vanziny jest filmem interwencyjnym, ukazującym rozbieżności pomiędzy kodeksem karnym a konstytucyjnymi prawami obywatela, ukazującym korupcję aparatu sprawiedliwości i odradzanie sił faszystowskich we Włoszech. Jednakże oglądaniu tego filmu towarzyszy świadomość pewnej naiwności i powierzchowości stawianych w nim problemów. Przyczyna ta tkwi zapewne z jednej strony w deklaracyjności stawianych kwestii, z drugiej zaś w tym, że zasada sensacyjności samych zdarzeń przeważa nad zasadą zgłębiania ich istoty.

Janusz Kuczyński „Homo creator”, Warszawa, Książka i Wiedza 1976.

EWA NURCZYŃSKA

MARIA WARDZICHOWSKA

„HOMO CREATOR”

Niezwykle dla nas dziś aktualny problem twórczości i człowieka tworzącego doczekał się wreszcie szerszego i wnikliwego opracowania ze strony filozofa marksisty. Zadania tego podjął się i z powodzeniem je zrealizował Janusz Kuczyński. Praca jego zawiera analizę z antropologii marksistowskiej, zarysowaną na tle przedmarksowskich i współczesnych doktryn filozoficznych. Uwydatnia ona, w odniesieniu do historyzmu dialektyki heglowskiej, ponadczasowy charakter dialektycznej filozofii rewolucji i dialektycznej wizji człowieka w dziełach Marksa i Engelsa. Składa się z dwóch części, pierwszej dotyczącej zagadnień filozofii materialistycznego kreacjonizmu i drugiej stanowiącej zarys dialektyki człowieka. Z całokształtu różnorodnych zagadnień, rozwijanych przez autora, do omówienia wybieram tylko niektóre, najbardziej znaczące dla zasygnalizowanego w tytule pracy problemu.

Kreacjonizm, jak podkreśla autor, jest filozoficznym uświadomieniem postawy człowieka wobec świata i siebie, teorią tej postawy i jej programem, a zarazem współczesną konsekwencją światopoglądu materialistycznego aktywizmu. Odkrycie przez Karola Marksa tak zwanej „trzeciej rzeczywistości”, będącej wyrazem materializmu dialektycznego znosi zarazem poprzedni materializm, jak i idealizm, zachowując równocześnie to co w nich posiadało wartość. „Trzecia rzeczywistość” jest realną rzeczywistością ludzką, praktyką, natomiast człowiek jest nie tylko w największym stopniu przeniknięty właściwościami kreacji, ale także jej najdoskonalszym wytworem. Szanse rozwoju kultury humanistycznej otwiera niewyczerpalna subiektywność ludzka. Wzajemny, dynamizujący oba bieguny związek czynnika obiektywnego i subiektywnego występuje ze szczególną siłą w społeczeństwie socjalistycznym i to stanowi doniosły składnik nowych możliwości rozwoju kultury.

W rozdziale ósmym części drugiej przedstawiona została interesująca koncepcja „trójwarstwowej” budowy

człowieka. Propozycja wydzielenia trzech warstw o trzech różnych statusach: cielesności o statusie materialnym, socjalności o statusie relacyjnym i psychiki o statusie idealnym ma sens pod warunkiem specjalizacji, opartej na równoczesnej filozoficznej integracji nauk antropologicznych, psychologicznych i społecznych. Pozwala zapobiec błędem jednostronnemu i jednopłaszczyznowemu widzeniu problemu człowieka. Opierając się o tak rozumianą teorię bytu, autor określa istotę człowieka, jako relację między nim a światem. Ta relacja posiada charakter dialektyczny, gdyż między jej biegunami wytwarza się swoistego rodzaju „napięcie”, polegające na pragnieniu zachowania własnej odrębności z jednoczesnym pragnieniem zjednoczenia się z całością. Humanizm Marksa tworzy ideę człowieka pełnego, uniwersalnego.

Walka i jedność człowieka ze światem stanowią podstawowy nurt rozważań, pojawiający się nieomal w każdym fragmencie rozprawy. Autor przeciwstawia się substancjalistycznym koncepcjom człowieka jako całości, ujmującym ludzki byt w formie odrębnej i wrogiej zewnętrznej rzeczywistości. Wskazuje na przykłady zrywania z substancjalizmem już u takich autorów, jak Gramsci, Nietzsche, Heidegger. Mimo odrzucenia substancjalistycznej koncepcji, wprowadza pojęcie częściowej substancjalizacji podmiotu. Podmiot uprzedmiotawia siebie nie tylko we własnych wytworach, produktach, ale także w pewnej warstwie uwewnętrznienia, w postaci „uprzedmiotowionej” pamięci. Możliwość obrony przed takim uprzedmiotowieniem daje wspólnota będąca kolektywnym podmiotem i tylko w relacji podmiot — świat człowiek może znaleźć realne szanse kształtowania samego siebie. Świat tworzy człowiek będący nie indywidualnym podmiotem, ale podmiotem kolektywnym. Autor wskazuje na podwójny charakter relacji, gdyż nie tylko podmiot humanizuje świat, ale także świat człowieka humanizuje podmiot. Wyróżnia trzy typy relacji:

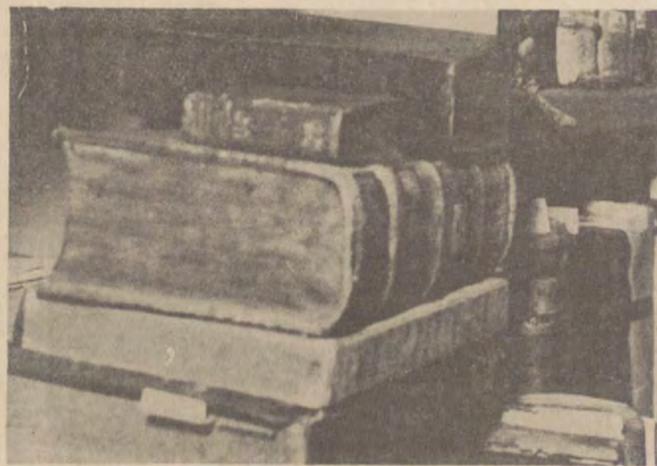


Foto: Archiwum

typ poznawczy, praktyczny i emocjonalny, które obejmują czwarty, najwyższy typ relacji — twórczość. Twórczość rozwiązuje w sposób autentyczny problem ludzkiego istnienia, gdyż jest zjednoczeniem ze światem, pozostawiającym jednostce odrębność i rozwijającym indywidualność. W relacji podmiot — świat autor zwraca uwagę na jeszcze jedną płaszczyznę dotyczącą walki i jedności, mianowicie na stałe dążenie do samoidentyfikacji i wykraczania zrazem. Ta antynomia może być rozwiązana tylko w świecie społecznej twórczości, jaki stanowi socjalizm. Droga do jedności ze światem wiedzie poprzez jedność z klasą, narodem i wreszcie ludzkością.

Jedno z najważniejszych zagadnień tej pracy stanowi wizja człowieka XXI i następnich stuleci. Szansę dla stworzenia nowego człowieka dały dopiero generalne przemiany ustrojowe. Rewolucja jego nie jest oczywiście rewolucją w znaczeniu politycznym, a tym bardziej w znaczeniu radykalnego odcięcia się od przeszłości, przeciwnie, sięgać musi do najcenniejszych wartości tradycji, aby na ich gruncie stworzyć konstruktywnie nową rzeczywistość ludzką. Rzeczywistość ta będzie zależała od naszego zbiorowego czynu. Odpowiedzi na pytanie o sytuację współczesnego człowieka w świecie przyrodniczym i społecznym, oraz na odzwierciedlenie tej sytuacji należy szukać przede

wszystkim w filozofii. Filozofia ta jest dialektycznym materializmem wraz ze swoją nową relacjonistyczną koncepcją człowieka, która zadała najważniejszy cios starym, idealistycznym koncepcjom — idealistycznemu i materialistycznemu substancjalizmowi. Relacjonizm próbuje określić istotę człowieka przez relację podmiot — świat, przełamując jego zamkniętość i ograniczoność. Zakłada wbrew teoriiom o wiecznej, niezmiennej naturze możliwość kształtowania natury ludzkiej, przede wszystkim poprzez polityczną i ekonomiczną przemianę stosunków społecznych. „Filozoficzne „novum” historycznej i politycznej sytuacji obecnej polega na »zachowaniu i równoczesnym opowaniu dialektycznego napięcia między człowiekiem a światem» — pisze autor. Tę relację a jednocześnie humanistyczną więź człowieka ze światem realizuje twórczość ludzka. Zakłada ona jedność między jednostkami w kulturowej wspólnotce, jaką współtworzą, zachowując jednocześnie ich autonomiczność i indywidualność. Człowiek przyszłości będzie tworząc sam siebie oraz współtworząc własnego środowiska, a „przez twórczość może nawiązać prawdziwe przymierze i porozumienie ze światem”.

DEFEKTY

I
POWTÓRKI

Po niejaki przerwie „Dobry wieczór” powiedziała nam Łódź. Czytelniczka może nie, ale autorzy tego cyklu zapewne pamiętają, że Teleman pisał już o tym programie dobrze, a także polemizował z krytyczną oceną jednego z koncertów, dokonaną na tych łamach przez Marcina Rodakę. A zatem o tendencyjność sądzić mnie raczej trudno.

Niestety — program z dnia 19 lutego dość daleko odbiegał od poprzednich. Więcej powiem — miejscami sięgał do wątpliwych wzorów „Z wizytą u nas”. Widzieliśmy nawet tzw. wsad do pleca hutniczego oraz surówkę.

Nie wiem, jak tam rzecz wyglądała w scenariuszu, ale realizacja telewizyjna wprawiła mnie w zadumę. Oto jest w programie tak znakomita wokalistka jak Krystyna Prońko, a na ekranie widzimy ją tylko śpiewającą w tercecie. Oto jest w programie popularna Jadwiga Strzelecka, a na ekranie widzimy ją tylko w tym samym tercecie. Nie wiem czy najlepszym przepisem na grupę wokálną jest połączenie kilku dobrych solistów. Z dobrych solistów powstaje wówczas średnia grupa wokálna.

Poza tym koncert był popisem piosenkarza o pseudonimie Emanuel. No, cóż, nie jest to zapewne Emanuel Kant afrykańskiej estrady. Popisał się też Balet Telewizji Polskiej. Mój dziewięcioletni syn, oglądając owe ewolucje taneczne, powiedział: „Te panie to chyba chodziły w szkole na rytmikę”. Uwaga była słuszna, z tym, że zapewne edukacja taneczna baletu na szkolnej rytmice — niestety — się skończyła.

Nie wiem zresztą czy mam rację, czeplając się tylko realizacji telewizyjnej koncertu „Dobry wieczór, tu Łódź”. Przecież redaktor programu z faniem TV był współautorem scenariusza, a z kolei reżyser drugim współautorem scenariusza. A zatem odpowiedzialność jest wspólna.

Zresztą obraz, jaki oglądamy na ekranie jest efektem kolektywnej działalności i odpowiedzialność za ten obraz też jest zespołowa.

Na przykład wygląd czy sposób mówienia są prywatną sprawą wówczas, gdy nie zasłada się przed kamerą. Niestety, ta zasada nie zawsze jest respektowana, na przykład w wypadku reporterów, którzy seplenią albo demonstrują na zbliżeniach swoje ślady po ośle.

Oczywiście z defektów czy nieporadności można także stworzyć własny oryginalny genre. Ale trzeba jeszcze do tego być indywidualnością. Lucjan Kydryński ze swoim chrapliwym „poszę panstwa” stworzył osobowość niezapomnianą, lecz wiadomo, że nie wystarczy mieć wadę wymowy, aby zostać Kydryńskim.

Podobnie było z Marianem Załuckim, który recytuje swoje wiersze jakając się i tremując. Ale Załucki stworzył z tego zaciękaną odrębną styl, bardzo sympatyczny i na wskroś oryginalny. Kiedy jaka się nam Janusz Holicki, to już nie jest to samo.

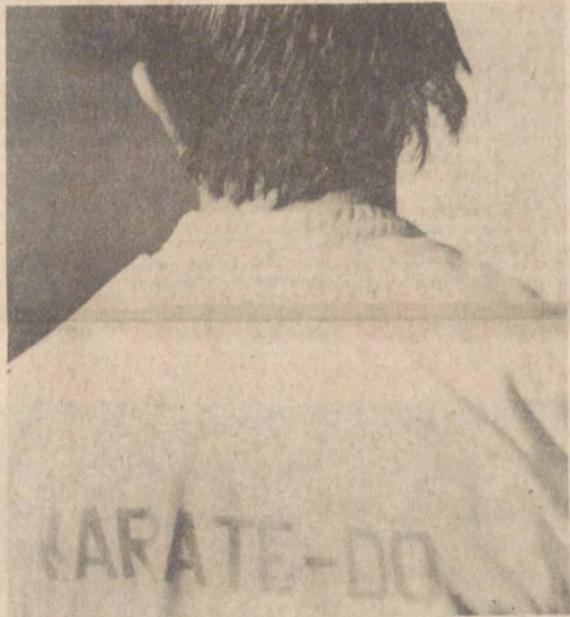
Na koniec kilka uwag na temat powtórzeń. Najczęściej narzeka się na powtórki, ale przecież są one potrzebne, jeśli tylko program wart jest przypomnienia. A ostatnio emitowano rzeczy naprawdę wartościowe. Jak choćby widowisko poświęcone postaci Adolfa Dymy czy program Krzysztofa Miklaszewskiego z okazji trzydziestej rocznicy powstania krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej.

Powtórzono też zabawny „Turniej parodystów”, w którym wystąpiło trzech świetnych i popularnych artystów — Andrzej Dyszak, Bolesław Gromnicki i Zbigniew Kanceler oraz dwóch panów, którzy ze sztuką parodii mieli, jak dotąd, raczej mało wspólnego. Chyba najlepiej wypadł Andrzej Dyszak — ma wciąż nowe pomysły, nowe, dowcipne teksty. Szkoda tylko, że telewizja nie zaprezentowała jego parodii Jerzego Polomskiego.

Miejmy nadzieję, że powtórzony zostanie również ciekawy program „Parada iluzjonistów”, oparta na podobnej, co Turniej zasadzie prezentacji polskich artystów iluzji.



KARATE



KULTURA I SZTUKA KRAJU RAD NA 60-LECIE REWOLUCJI

Niedawno na tym miejscu informowaliśmy o przygotowaniach radzieckich środowisk kultury i sztuki do obchodów 60 rocznicy Rewolucji Październikowej. Obecnie prasa radziecka przynosi dalsze informacje dotyczące konkretnych realizacji wcześniej nakreślonego programu. M. in. dziennik „Prawda” opublikował wypowiedzi przewodniczących stowarzyszeń twórczych o przygotowaniach do jubileuszu.

GEORGI MARKOW (I sekretarz ZG Związku Pisarzy ZSRR): „Związek Pisarzy ZSRR wspólnie ze stowarzyszeniami pisarzy krajów socjalistycznych, organizuje konkursy na utwory literackie, poświęcone Rewolucji Październikowej. ZP ZSRR będzie także organizatorem wielu spotkań i dyskusji poświęconych osiągnięciom realizmu socjalistycznego i odbiciu idei Wielkiego Października. W Moskwie odbędzie się narada, na której zostanie przeanalizowany 60-letni dorobek radzieckiej szkoły przekładu literackiego”.

TICHON CHRENNIKOW (I sekretarz ZG Związku Kompozytorów ZSRR): „Przygotujemy wiele koncertów, na których obok znanych i cenionych dzieł radzieckiej klasyki, wykonywane będą również utwory najnowsze, które zostały napisane dla uczczenia rocznicy. Dużo uwagi poświęcamy upowszechnieniu dorobku muzyki radzieckiej. W ciągu bieżącego roku odbędzie się ponad 10 tysięcy spotkań twórców ze słuchaczami i to nie tylko w centrach kulturalnych, ale również w osiedlach, wioskach i na terenie wielkich budów. W Moskwie odbędzie się spotkanie kompozytorów krajów socjalistycznych”.

LEW KULIDZANOW (I sekretarz ZG Związku Filmowców ZSRR): „Przeszło dwadzieścia festiwali radzieckiego filmu zorganizowanych zostanie na wielkich budowach pociągów, w przemyśle i rolniczych ośrodkach kraju. Filmowcy pracują obecnie nad utworami o tematyce jubileuszowej. Ludzie filmu z krajów socjalistycznych, kapitalistycznych i rozwijających się, zaproszeni zostali do udziału w symposium: „Rewolucja Październikowa, a rozwój światowej sztuki filmowej”. Odbędzie się także pierwszy Wszechzwiązkowy Festiwal Młodych Twórców. 60 rocznica będzie także głównym tematem festiwalu filmów amatorskich”.

MIKOŁAJ PONOMARIEW (przewodniczący ZG Związku Plastyków ZSRR), w swojej wypowiedzi stwierdził m. in., że główną imprezą dla uczczenia jubileuszu, będzie wszechzwiązkowa wystawa pn. „Leninowska droga”, która otwarta zostanie w Moskwie. Obecnie artyści ze wszystkich republik przygotowują się do tego wielkiego przeglądu sztuki radzieckiej.

Również w związku z 60-letnim jubileuszem Rewolucji, Centralna Telewizja ZSRR, rozpoczęła emisję cyklu historycznego pn. „Nasza biografia”, podczas którego telewizyjnie zostaną zapoznani z dokumentalnym obrazem lat — od Października po rok 1977. Realizatorzy wykorzystują wiele dotychczas nieznanych zdjęć filmowych i fotograficznych, odnalezionych w archiwach i filmotekach. Obraz komentują dziennikarze, działacze, a wśród nich również sami bohaterowie ukazanych wydarzeń.

Repertuar radzieckich kin i teatrów wzbogaci się w tym roku o liczne nowe utwory przygotowane dla upamiętnienia 60-lecia. Z bogatego zestawu tych dzieł, wymieniamy dla przykładu spektakl ukazujący panoramę życia w Rosji w czasie Rewolucji i w pierwszych latach władzy radzieckiej, który przygotowuje moskiewski Teatr im. Majakowskiego. Inna stołeczna scena — Teatr im. Wachtangowa — przedstawi sceniczną kompozycję „Październik w Moskwie”.

Mieszkańcy Kraju Rad otrzymają w jubileuszowym roku setki okolicznościowych publikacji. M. in. staraniem wydawnictwa „Politizdat” opublikowana zostanie specjalna 20-tomowa seria książek, zawierająca zbiór najważniejszych dokumentów wydanych przez władze radzieckie, antologię najcenniejszych opowiadań i reportaży, zapoznając czytelników z drogą, jaką przebył naród radziecki od historycznych dni Października, po dzień dzisiejszy.

Tak surowej zimy jak obecna w Stanach Zjednoczonych nie notowano od stu lat. Mrozy i obfite opady śniegu sparaliżowały wschodnie rejony kraju, zamieszkałe przez 4/5 ludności USA. Z powodu zmniejszenia zaopatrzenia w gaz ziemny stanęło wiele zakładów przemysłowych, „przemusowy urlop” otrzymało ponad 3 miliony robotników. W wielu domach w Nowym Jorku, z powodu silnych mrozów, pękły rury wodociągowe. Kłopoty spowodowane mrozami i śniegiem nie skończą się jednak na zimie.

Podczas, gdy wschód USA został „zamrożony”, w Kalifornii, Colorado, Nowym Meksyku i innych zachodnich i południowych stanach panuje susza. Prezydent USA, Jimmy Carter, ogłosił stan klęski żywiołowej w 72 okręgach Missisipi i 21 okręgach Luizjany. Długotrwała susza wypaliła tam pastwiska; wskutek masowego padania była hodowcy stanęli w obliczu ruiny.

Śniegu na zachodzie spadło bardzo mało, a właśnie woda z topniejących śniegów utrzymuje w ruchu elektrownie wodne w okresie wiosny i lata. Jednakże tego roku trzeba będzie w tych stanach używać deficytowego paliwa. Powstało zagrożenie ograniczenia wody do picia oraz wody do polewania pól. Wiosną należy się także liczyć z brakiem nawozów sztucznych, bowiem do produkcji tych nawozów potrzebny jest gaz ziemny. Może to spowodować z kolei spadek urodzajów, co jeszcze bardziej wyrzuci ceny na produkty żywnościowe. Istnieją obawy, że z powodu panujących chłódów ceny na towary masowego spożycia wzrosną w pierwszym kwartale tego roku o 5,4 proc., zamiast 4,9 proc. w przeliczeniu na rok.

Cała prasa amerykańska zamieszcza obok reportaży, wiele artykułów analizujących trudną sytuację, w jakiej znalazły się USA wskutek kłopotów tegorocznej zimy. Korespondent waszyngtoński tygodnika „U.S. News and World Report”, pisze, że na Florydzie straciło pracę około 150.000 robotników sezonowych. Styczeńowe chłody zniszczyły tutaj zasiewy jarzyn i owoców. Przepało 95 proc. przewidywanych zbiorów jarzyn, 40 proc. owoców cytrusowych i 25 proc. trzciny cukrowej. Straty, jakie poniosła gospodarka stanu Floryda ocenia się na około 338 milionów dolarów.

Oczekuje się, iż w miarę ograniczenia dostaw gazu ziemnego bezrobocie i trudności ekonomiczne przybiorą na ostrość.

Miejscowi działacze ekonomiczni uważają, iż tegoroczna surowa zima przekreśliła nadzieje, na jakiegokolwiek, choćby nieznaczne, zahamowanie wzrostu kosztów utrzymania w

najbliższej przyszłości. Zdaniem znanego konsultanta ekonomicznego, Otto Eksteina, podwyższenie cen na owoce, jarzyny i paliwo zwiększy tempo wzrostu indeksu cen na towary masowego spożycia. Zwolnienia robotników z pracy nie pozwolą na jakiegokolwiek zwiększenie produkcji, a co więcej — mogą spowodować nawet jej spadek. Według oceny Eksteina oznacza to straty z tytułu zmniejszenia siły nabywczej ludności w granicach 1—2 miliardy dolarów.

Na wschodzie USA zaostrza się niedobór nie tylko gazu ziemnego, lecz także innych rodzajów paliwa. Według danych Amerykańskiego Instytutu Naftowego do niebezpiecznie niskiego poziomu spadły zapasy mazutu, szeroko używanego do ogrzewania mieszkań. W niektórych częściach zaludnionych rejonach kraju wyniki przerwy w zaopatrzeniu, bowiem barki-cysterny z naftą znalazły się w lodowatej pułapce na wewnętrznych drogach wodnych.

Straty poniosły także koleje. Jak utrzymują władze tego resortu, przedłużające się chłody będą kosztowały kraj dziesiątki milionów dolarów tylko z powodu wydatków na odśnieżanie linii kolejowych oraz strat spowodowanych przestojami

jarzyn wrosną w granicach 30—50 procent. Podwyższenie cen na produkty żywnościowe odbije się nie tylko na budżecie Amerykanów. Ogranicza to także wysiłki prezydenta Cartera zmierzające do zahamowania inflacji.

Floryda i tak o wiele wolniej wychodziła z ekonomicznego spadku niż większość stanów. Kolosalne straty spowodowane mrozami są niezwykle bolesnym wstrząsem dla całej obłajonej ekonomiki tego stanu. W południowej części okręgu Dide, gdzie zimą hoduje się wiele rodzajów jarzyn i owoców, chłody grożą opóźnieniem ekonomicznego rozwoju na okres jednego, dwóch lat. Zasiewy kukurydzy, roślin strączkowych, pomidorów, ogórków i arbużów zostały w stanie Floryda niemal całkowicie zniszczone. Gubernator Florydy zażądał od rządu federalnego ogłoszenia stanu „rejonem klęski”.

Wprawdzie niektórzy amerykańscy odbiorcy spoglądają z nadzieją na Kalifornię i Nowy Meksyk, ale wątpliwe, żeby tym rejonom udało się zrekomensować straty, jakie poniosło rolnictwo Florydy. Stany te nie zdołają zaspokoić popytu na owoce i jarzyny całych Stanów Zjednoczonych i ceny na nie z pewnością

doborów gazu ziemnego — pisze komentator gazety — jest pogoń za zyskami, a braki są sztucznie spowodowane przez monopole. Zamiast służyć ludziom, naturalne bogactwa gazu ziemnego w USA eksploatują, z myślą o własnych zyskach, korporacje działające w sferze energetyki. Grożą wstrzymaniem paliwa dla przedsiębiorstw przemysłowych, szkół, domów mieszkalnych korporacje dyktują swoje warunki. Osiągnęły cel: ceny na gaz — konsekwencja nadzwyczajnej uchwały opracowanej przez obecną administrację i zatwierdzonej przez Senat i Izbę Reprezentantów — gwałtownie rosną.

Srodki podjęte przez rząd i Kongres nie przyniosą ulgi ludziom pracy i nie rozwiążą problemów, które rodzi kryzys energetyczny. Rząd, w istocie rzeczy, ugiał się pod naciskiem monopoli gazowych, legalizując wraz z Kongresem wyzysk ludności przez gazowych baronów. Skomplikowana obecnie sytuacja w USA w dziedzinie energetyki wyraźnie wskazuje, że władze działają w interesach wielkiego biznesu, przetrzucając na barki ludzi pracy coraz cięższe brzemie inflacji, bezrobocia, niedostatku i niedoli. Prezydent i Kongres nie podjęli żadnych wysiłków w celu ograniczenia ogromnych zysków kompanii gazowych. Przeciwnie — zaaprobowali podwyższenie cen na gaz, co przyniesie monopolom nowe miliardy dolarów.

Członek Izby Reprezentantów Kongresu USA, John Coners, demokracja ze stanu Michigan, nazwał opracowaną przez administrację nadzwyczajną ustawę w sprawie gazu ziemnego — kapitulacją przed monopolami gazowymi. Podkreślił on, że krajowi jest potrzebna nie taka ustawa, lecz wprowadzenie kontroli nad działalnością korporacji w sferze energetyki. Występując na konferencji prasowej Coners powiedział, że ustawa nadzwyczajna w sprawie gazu ziemnego doprowadzi do wzrostu cen na ten rodzaj paliwa, co będzie kosztowało amerykańskich konsumentów co najmniej 8 miliardów dolarów. „W moim okręgu wyborczym — podkreślił kongresman — utarł się ogólnie akceptowany pogląd, że czas już skończyć z panowaniem monopolu gazowych, które nigdy nie były tak potężne jak teraz. Otrzymujemy mnóstwo listów, w których oburzeni Amerykanie pytają: dlaczego działalność kompanii gazowych nie kontroluje państwo? Krajowi potrzebna jest nacjonalizacja przemysłu gazowego”.

Coners powiedział, że obliczenia przeprowadzone przez grupę specjalistów wskazują, iż w konsekwencji podwyższenia cen gazu, na co zezwala nowa ustawa, opłaty za ogrzewanie mieszkań średniej wielkości wzrosną z 5 dolarów do 25 dolarów miesięcznie.

JERZY CZECH

USA DRAMATYCZNE SKUTKI ZIMY

transportu i wzrostem wydatków eksploatacyjnych.

Mrozy sparaliżowały wydobycie węgla w Kentucky i zachodniej Wirginii. Naziemne urządzenia kopalni zostały uszkodzone. Ciężarówki z węglem nie mogą jeździć po oblodzonych szosach. Barki z węglem ugrzęzły na zamrzniętych rzekach. W lodowych okowach rzek Illinois i Missisipi utknęły setki holowników i tysiące barek. Na rzece Ohio, zamrzniętej po raz pierwszy od 30 lat, w stanie Kentucky, stoi 50 barek z naftą przeznaczoną dla Zachodniej Pensylwanii.

Reportery nowojorskiego „Business Week” donoszą, iż straty poniesione w kulturach jarzyn na Florydzie, spowodowane niespotykanym tutaj mrozem, mogą się przerodzić w prawdziwą katastrofę. Konsumentów czekają niepomysłne wiadomości: detaliczne ceny na wiele rodzajów

gwałtownie skoczą w górę. Zadzziwiająco, ale mrozy stały się istnym darem bożym dla właścicieli plantacji owoców cytrusowych na Florydzie. Tegoroczny sezon zapowiada rekordowy urodzaj pomarańczy, wyższy o 18 proc. od ubiegłorocznego. Liczone są już z koniecznością obniżenia ich ceny, kiedy uderzyły mrozy. W wyniku chłódów ceny na koncentraty (85 proc. pomarańczy przetwarzają się na koncentraty) skoczyły natychmiast o 30 proc.

Natomiast niezwykle trudne czasy przeżywają producenci trzciny cukrowej. Farmerzy mogą stracić około 25 proc. z 5 milionów ton pionów, które trzeba jeszcze zebrać. Istnieją obawy, iż wielu farmerów czeka kompletna ruina.

Komunistyczny dziennik „Daily World” zwraca uwagę, że „wielki biznes zwraca ręce nawet na mrozie”. Główną przyczyną ostrych nie-

■ Sześć dekad nowej ery ■ Vance jedzie do Moskwy ■ W stronę Bliskiego Wschodu

Rok bieżący jest rokiem 60-lecia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Biuro Polityczne KC PZPR podjęło z tej okazji specjalną uchwałę. Podkreśla ona, że nasz naród ma specjalne powody, aby tę datę obchodzić jako własne święto. „Rewolucja Październikowa i zbudowany przez komunistów sojusz polsko-radziecki w zasadniczy sposób wpłynęły na zrealizowanie naszych aspiracji narodowych do niepodważalnej niepodległości i suwerenności, nienaruszalnego bezpieczeństwa, trwałego pokoju i socjalistycznego rozwoju” — czytamy w tym dokumencie

Gdy ogarniemy historyczną pamięcią owe sześć dekad lat — bez trudu uświadomimy sobie, co stało się w świecie za sprawą Rewolucji Październikowej. Najkrócej można powiedzieć, że w następstwie powstania pierwszego państwa socjalistycznego rozwinął się światowy ruch komunistyczny i robotniczy, rozgorzała — zwycięska w wielu przypadkach — walka klasy robotniczej z wyzyskiem i uciskiem kapitalistycznym, zapewnione zostało powodzenie ruchom narodowowyzwoleńczym w walce z kolonializmem i jego późniejszymi, nowszymi formami oraz ukształtowała się zorganizowana siła — w postaci wspólnoty socjalistycznej — stawiająca sobie w skali międzynarodowej zadanie wyeliminowania wojen raz na zawsze. **Dato to historyczną**

szanse wielu narodom, a w tej liczbie polskiemu, otworzyło perspektywę pokojowego rozwoju. Porównanie map politycznych sprzed 60 laty i obecnie najlepiej podkreśla rangę wydarzeń listopadowych w 1917 roku. Dlatego zbliżająca się rocznica będzie traktowana jako święto wszystkich sił postępu na świecie.

Po tej rocznicowej refleksji przejdźmy do kilku bieżących wydarzeń międzynarodowych.

Nowa administracja amerykańska, jak to już pisaliśmy, spieszy się z nawiązaniem bezpośredniego kontaktu ze Związkiem Radzieckim. W pierwszych dniach po objęciu urzędu roszmował przez Cartera jego rozmówcą był ambasador radziecki w Waszyngtonie, **wkrótce do Moskwy wyjedzie nowy sekretarz stanu — Cyrus Vance**. Można z góry przewidzieć, że rozmowy, jakie przeprowadzi w stolicy ZSRR, będą śledzone w świecie z największą uwagą. Tematów do bezpośredniego dialogu jest wiele, przede wszystkim jednak zainteresowanie wzbudza sprawa drugiego radziecko-amerykańskiego porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Mimo bowiem, że rokowania dotyczą tylko dwóch mocarstw, ich pomyślny finał może mieć przeżywny wpływ na zahamowanie wysiłku zbrojeń w ogóle.

W połowie bieżącego roku, jak wiemy, spotkać się mają w Belgra-

dzie sygnatariusze Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dziś nie ma już wątpliwości, że odprężenie polityczne, którego jesteśmy świadkami, musi być wsparte choćby ograniczonymi krokami rozbrojeniami. W przeciwnym wypadku wciąż potykać się będziemy o przeciętne arsenały broni, która przecież gromadzi się nie w celach pokojowych.

Komentatorzy zachodni powtarzają, że linia Moskwa — Waszyngton jest często decydująca o klimacie światowym i ostatnio na przykład powodzenie rokowań wiedeńskich na temat ograniczenia sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej wiąże z postępowem w rokowaniach SALT. Wszystko to razem daje wysoką rangę marcowej wizycie Cyrusa Vance w Moskwie.

Obszarem niesłabnącego zainteresowania jest Bliski Wschód. Pisaliśmy o rozmowach w wielu krajach tego rejonu Kurta Waldheima. Podróżował po Bliskim Wschodzie także sekretarz Vance. Ostatnio w czasie konferencji prasowej prezydent Carter zapowiedział, że zamierza otworzyć w Waszyngtonie rundę rozmów z przywódcami państw bliskowschodnich. W marcu ma przybyć do Stanów Zjednoczonych premier Izraela — Rabin, a potem przywódcy Egiptu, Jordanii i Arabii Saudyjskiej.

Ciągle jeszcze nie wiemy, jak prezydent Stanów Zjednoczonych wyobraża sobie rozwiązanie kluczowych problemów bliskowschodnich. Zastępowana swego czasu przez USA polityka tzw. małych kroków, której to uległ Egipt, a która nie została przyjęta przez inne kraje arabskie, nie

przyniosła nic dobrego. Ani o krok nie przybliżyła ona pokojowego rozwiązania konfliktu. Na tym tle tym bardziej uwidoczniła się potrzeba wznowienia obrad konferencji genueńskiej, czego konsekwentnie domaga się Związek Radziecki. Dziś główną przeszkodą w podjęciu rozmów w Genewie jest stanowisko Izraela w sprawie udziału w tej konferencji Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Czy Carter będzie chciał i uda się mu złamać w tej kwestii bezzasadny upór Tel Awiwu?

Przedłużający się stan „ni pokoju ni wojny” na Bliskim Wschodzie nie jest poważne niebezpieczeństwo. Dlatego nie należy zwlekać z podjęciem pokojowych i trwałych rozwiązań.

I na zakończenie jeszcze „słowo” komentarza na temat uzupełniających wyborów do Izby Gmin w jednym z londyńskich okręgów. Wybory te przyniosły sukces konserwatywom i postawiły labourystowski rząd Callaghana w niezwykle trudnej sytuacji — przewagi w parlamencie połączonej sił opozycji jednym mandatem. Znajdujemy na to wydarzenie miejsce w przeglądzie wydarzeń, ponieważ o niespodzianki teraz nie trudno.

W. SŁAWSKI

SPÓR
O PIETRUSZKĘ

Zima tego roku — brzmi to może trochę dziwnie, jako że zima kalendarzowa ciągle trwa, a zimy nie ma — zespoły piłkarskie wojażowały po świecie. Legia — jak wiadomo — bawiła w Indonezji, gdzie — jak twierdzi Andrzej Strzeliak — w pełni zrealizowała planowane zamierzenia szkoleniowe. Piłkarze Łódzkiego Klubu Sportowego przygotowali się do nowego sezonu w Holandii, gdzie również zrealizowali to wszystko, co zaplanowali dla nich Leszek Jezierski. Łódzcy piłkarze przywieźli z Holandii nie tylko sporo zachwyków nad wyposażeniem ośrodka w Papendal, ale także małą sensację.

Co okazało się — jak donosił o tym Michał Strzelecki na łamach „Expressu Ilustrowanego” — że Jan Tomaszewski chciał kupić nie tylko holenderski „Ajax”, ale też i hiszpański „Barcelona”.

„Barcelona” chce kupić „Tomka” — pisał w „Expressie Ilustrowanym” Michał Strzelecki. — To była pierwsza wiadomość, jaką otrzymałem po przyjeździe do Papendal. Myślałem, że to żart...”

I następna „sensacja”:
„Po wysłaniach Barcelony — pisał Michał Strzelecki — ...w dzień naszego odlotu do Polski zjawili się w amsterdamskim hotelu dwaj przedstawiciele „Inter Football”. I oni chcieli dobić targu z Janem Tomaszewskim, proponując mu grę w Ajaxie...”

Jan Tomaszewski odmówił zarówno „Barcelona”, jak i „Ajaxowi”, o czym Michał Strzelecki doniósł z wielką radością, klasyfikując czyn ten jako niewątpliwie patriotyczny i świadczący o przywiązaniu Jana Tomaszewskiego do barw ŁKS. Ale tu nagłe ktoś brutalnie wszedł w parady i całą, tak znakomicie zaprezentowaną „afere”, dokładnie pomieszał. Michał Strzelecki poczuł się więc w obowiązku sprawę wyjaśnić, co uczynił w artykule zatytułowanym: „Naganianie”. W artykule tym napisał między innymi:

„Na konferencji prasowej... jeden z dziennikarzy z powatpiwaniem w głosie zapytał: „czy to prawda, że Tomaszewskiemu oferowane przejście do Barcelony”. Trener Leszek Jezierski odpowiedział: — „Proszę się nie śmiać. Tomaszewski jest nadal bardzo popularny na zachodzie Europy, o czym mogliśmy się przekonać zarówno w Holandii, Belgii, jak i w RFN. Otrzymał on też propozycje gry nie tylko w Barcelonie”.

W to oświadczenie — disse dalej M. Strzelecki — nie uwierzył tylko jeden kolega po piórze, który notabene był przez cały czas na zgrupowaniu ŁKS w Holandii...”

Tym „kolegą po piórze” jest Wojciech Filipiak z „Głosu Robotniczego”, który w swojej gazecie napisał w artykule pod tytułem „Jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii” co następuje:
„Opisu wrzeń z Brussels nie będzie. Wszystko odbyło się bowiem jak w filmie. „Jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii”. Był wtorek, była Belgia, ale wzięta w tym pięknym mieście trwała trzy godziny. „Wysłannicy Barcelony” niewiele mieli wiece czasu na rozmowę z Tomaszewskim, może wie dlatego transakcji nie zatwierdono. Inna rzecz, że ów domniemany Hiszpan był za bardzo podobny do siatkarza Paszkiewicza, przebywającego obecnie w Belgii, który po meczu chciał sobie z „Tomkiem” pogadać. Całą „afere” potraktowano oczywiście z humorem, ale niektórzy uwierzyli...”

Po tym przytoczeniu, czyli wielkim powatpiwaniu Wojciecha Filipiaka z „Głosu Robotniczego”, Michał Strzelecki na łamach „Expressu Ilustrowanego” wytoczył ciężkie działa, sygnalizującymi świadkami — bo Tomaszewski nie lubi rozmawiać w cztery oczy na te tematy”. Michał Strzelecki chce więc przekonać wszystkich, że istnienie Jan Tomaszewski otrzymał propozycje grania w „Barcelona” i „Ajaxie”.

Czytam o tym sporze między Michałem Strzeleckim i Wojciechem Filipakiem i zastanawiam się: o co tu chodzi? Być może istnienie wysłannicy „Barcelona” i „Ajaxu” proponował Janowi Tomaszewskiemu występ w tych klubach. I co z tego wynika? Albo to tylko jednemu Janowi Tomaszewskiemu złożono takie propozycje? Czy z tego faktu sploty jakiś dodatkowy splendor na drużynę i klub?

Jan Tomaszewski — jak wiadomo był reprezentacyjnym bramkarzem — kiedy reprezentacja Polski zdobywała trzecie miejsce w świecie i drugie w Montrealu. Obecnie w reprezentacji nie występuje. Po prostu Jacek Gmoch nie widzi go jeszcze wśród kadry, spośród której chce wybrać drużynę na spotkanie z Duńczykami. Czy „afere” z zagranicznymi propozycjami ma zwrócić uwagę Jacka Gmocha na bramkarza ŁKS?

Nie od dziś wiadomo, że wielu zawodników polskich marzy o wyjeździe za granicę i że potrzeba na to zgody PZPN. Czy taką zgodę Jan Tomaszewski posiada? A jeśli nie, to o czym tu w ogóle dyskutować? Czy nie jest to przypadkiem spór czysto akademicki, prowadzony dla wadliwej przyjemności samego spierania się? Bo, gdyby tak Jan Tomaszewski posiadał zgodę PZPN na występy w drużynach zagranicznych, wtedy odmówił, to byłoby to wycyna godny popularyzacji. Albo, gdyby Jacek Gmoch zaproponował Janowi Tomaszewskiemu grę w reprezentacji — co powinno być marzeniem każdego piłkarza — a Jan Tomaszewski wolał tylko bronić barw ŁKS. Wtedy byłoby o czym podyskutować.

BOGDA MADEJ

WACŁAW BILIŃSKI
WRÓCIĆ DO SIEBIE

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Spotkał Lucję w porze obiadowej. Wróciwszy z ośrodka, wszedł na górę, by się umyć i ledwie zagryzła kluczem w zamku, już wyskoczyła ze swego pokoju, o pół piętra wyżej, z okrzykiem: — Jesteś nareszcie! — który zabrzmiał w jakiejś szczególnej tonacji. — Czekam od godziny!

— Umyj się szybko — mówiła Lucja. — Mam cię przyprowadzić do szpitala. Doktor Ochman specjalnie mnie przysłał. Czekam tu i czekam. Myślałam, że dziś już będzie można ciebie złapać bez trudu. Jakaś pasja chowania się przed ludźmi, czy co?

— Przed nikim się nie chowam. Mam dużo roboty...

— Ty jeden! Ochman czeka. Co ty myślisz, że on nie ma nic lepszego do roboty... Rheingold wyjeżdża. Ochman uważa, że to specjalista akurat do takich jak twój przypadek.

— Pobjawisko, czyli ogólnopolskie centrum badań — zawałał się i dokończył — takich przypadków jak mój...

Stała w drzwiach i śledziła każdy jego ruch. Poszedł się myć. Lucja szła za nim krok w krok, nie pozwalając zamknąć mu drzwi do łazienki.

— Coś jeszcze? — spytał. — Bo chcę wziąć tusz.

— Ochman kazał mi ciebie pilnować.

Odkręcił tusz i przyszcisnął, armatura była staromodna, mosiężna, pamiętająca dawne, dobre czasy młodości tej willi. Pod słabym ciśnieniem wodociąg chrząknął, prychnął, bulgotał. Lucja umilkła, ale nie ruszała się od progu. Lanowiecki rozebrał się do naga. Lucji przecież nie musiał się kępować, była pielęgniarką. W pewnych sytuacjach nie kobieta, a profesjonalna. No i raz już zajmowała się nim, gdy nie był mężczyzną, a tylko zwiłkiem porażonym Wielką Chorobą. Czegóż się jej wstydzicie? — pomyślał i zaczął się myć. Ale nagła ta sytuacja zirykowała go.

— Musisz się gapić. Nie mogłabyś na mnie poczekać tam, w pokoju? Czy chcesz mi umyć plecy?

Wzruszyła ramionami, odwróciła się na pięcie, zostawiając drzwi łazienki szeroko otwarte. Wzięła tusz, długo szorowała szczołką umazane smarami ręce. Nie spieszył się. Gdy wrócił do siebie, Lucja siedziała w głębokim fotelu. Był pod wrażeniem wizyty Niemki, stwierdził że Lucja nie miała tego wielkoświatowego berlińsko-zurychsko-paryskiego fasonu Mathilde, lecz zrobiło mu się miło — o takim uczuciu mówił się: „ciepło koło serca” — bo Lucja była młodszą, dużo młodszą i na pewno ładniejszą.

— Co to za szczęście mieć taką śliczną pielęgniarkę.

— Pamiętasz, gdzie jeździłeś?

— Czy pamiętam?

— Ochman się boi, że jeździłeś gdzieś w ataku choroby. Taki atak charakteryzuje się amnezją. Utratą pamięci. Fuga. Naprawdę pamiętasz wszystko?

Zachnął się.

— Oczywiście. Nie róbcie ze mnie debila.

— No to zbieraj się szybko. Idziemy do szpitala.

Patrzyła na niego oczami rozeźlonej kocioty.

— Jeżeli pamiętasz, gdzieś się włóczył...

— Co to znaczy: włóczył?...

— Ty sukinyń! — powiedziała

przez zaciśnięte zęby i słowo to zabrzmiało szyczącą onomatopeją. — Ty cholerny sukinyń! Idziemy!

Poszli więc do szpitala i wyglądało to na eskortowanie więźnia. Przodem Lanowiecki, za nim, jak strażnik, Lucja. Próbował wypytywać Lucję o co jej chodzi. Nie mógł pojąć, skąd ta jej wściekłość, to wyzisko — sukinyń! Chciał ją ująć pod ramię, wyrwał się. Unikała jego wzroku, w gniewny sposób stukała obcasami, nawet krok jej się zmienił.

Do gmachu szpitala Lucja wbiegła pierwsza. Ledwie mógł za nią nadążyć. Na piętrze zapukała do drzwi gabinetu Ochmana i wtargnęła doń z triumfalnym:

— Przyprowadziłam go!

Ochman siedział głęboko za biurkiem. Na ich widok uniósł głowę zmęczonym ruchem. Popatrzył bez wyrazu na Lanowieckiego, potem na Lucję.

— Niech pani nas zostawi samych.

Trzasnęły drzwi i jednocześnie w głębi korytarza ktoś zaczął krzyzczeć. Lanowiecki obejrzał się nerwowo. Opanowało go dobrze znane szpitalne uczucie wyzbycia się osobowości, przeistoczenia w przypadek chorobowy.

Ochman chwilę siedział bez ruchu, naciskając palcami gałki oczne. — Niech pan siada, panie Lanowiecki — powiedział wrzeszcząc zmęczonym głosem. — Gdzież to się wojażowało?

— Czemu pan pyta?

— Będziemy tak rozmawiać, jak Izidor z Morycem? Odpowiadać pytaniem na pytanie?

— Ale co to za śledziwo? Z jakiej przyczyny?

— Chodź mi o objawy pana choroby. Tylko o to, jeśli już ma pan jakieś wątpliwości. A śledziwo niech prowadzi ten nasz... jakże mu... Ptaszek.

— Wróbel.

— Czy Wróbel. Zatem słucham. Gdzież to się wojażowało?

— Mogę pana doktora uspokoić. Nie utraciłem ani na chwilę świadomości. To nie był atak epileptyczny. Przyjechała do mnie moja była narzeczona. Odwoziłem ją do Stargardu. Wystarczy panu ta informacja?

Ochman uśmiechnął się z trudem.

— A mnie pan napędził strachu. Nie tylko mnie. Siostra Lucja podniosła taki alarm...

— Bez żadnych powodów.

— Gdy kobieta podnosi z powodu mężczyzny taki alarm... A jeśli chodzi o moje odczucie, to przyznaję, i ja się nastraszyłem. Widzi pan, akurat, ten typ pourazowy... hm... dolegliwość często objawia się...

— Wiem. Czytałem na ten temat. Fuga. Ucieczki. Ale tym razem, nie z tych rzęzy, doktorze. Słowo.

— Wierzę. Chociaż w ogóle, to niezbyt pan dba o siebie.

— Znowu wiadomość od Lucji?

— No, właśnie. A teraz niech się pan rozbierze. Chcę pana dokładnie zbadać.

— Też na prośbę siostry Lucji?

— Ma pan jej za złe tę dbałość?

— Jestem nią zaskoczony.

— No cóż, nakazałem jej opiekować się panem.

— Kształcił ją pan na specjalistkę od epilepsji?

Ochman zabrał się do niespiesznych, metodycznych badań. Półgłosem gderał: — Najważniejsze, żeby nie uważać się za chorego. Narzucić sobie nowy stosunek do życia. Te wszystkie zastrzyki, proszki, pigułki, to umiaru kadzido, jeśli zabraknie siły, żeby się dźwignąć z tej... hm...

— Padaczki pourazowej — odpowiedział ironicznie Lanowiecki. — Wie pan przecież, doktorze, że jestem już biegły w przedmiocie. Naczytałem się.

— Najgorsi są pacjenci, którzy lubią takie tam lektury. Istna kłeska. Zostawmy cesarzowi co cesarskie, a Bogu, co boskie. Mam na myśli, że Bóg to ja, lekarz. Tak. Serce jak dzwon. Płuca też niezłe, choć coś tam chyba kiedyś było?

— W czasach studenckich.

— Mam ucho! — ucieszył się Ochman. — Ale przy okazji, na wszelki wypadek prześwietlimy. A co to za święte stłuczenie tu, na karku?

— Wypadek losowy — uśmiechnął się kwaśno Bohdan.

— Trzeba unikać takich wypadków losowych. Nie dla pana takie zabawy. No. Teraz proszę usiąść. Nóżka na nóżkę. Postukamy młotkiem. Sama rozkosz, prawda? Jestem chirurgiem, a muszę być omnibusem na stare lata. Leczyć syfy, przyjmować porody, robić skrobanki zgwałconym dziewczynom i badać...

— Epileptyków.

— No i proszę bardzo, sam pan widzi. Wciąż to cmokanie w bólać zęb. Nie można już żyć bez myśli o tym swym chorobstwie? Romantycznym, literackim nieszczęściu.

— Bardzo rzeczywiście ono romantyczne i literackie.

— Cezar, Dostojewski. Flaubert. Wystarczy wielkich nazwisk. A w ogóle skończmy z tym głupim gadaniem. Mężczyzna, czy baba?

— Zależy od okoliczności. Ale raczej mężczyźni.

— Też mi się tak zdaje.

— Mam nawet w tej dziedzinie nowe, przykre doświadczenia.

— Słucham, słucham.

— Nie wyszło mi z dziewczyną. To znaczy, przedwcześnie.

— Chyba nie z Lucją? Jej może pan zafać. Nie czuje pan, ile w niej ciepła? Przy niej może się pan całkiem odprężyć.

— Poważnie, doktorze. Czuję się niepełnowartościowy. Bardzo mnie to dręczy.

— Wszyscy się tak czujemy. Stany pchorobowe. Ja sam, jak mam cięższą robotę, muszę się wzmocnić, tak wszystko we mnie dygocze. No i wzmocniłem się szklanką wódki — i zaraz się zastrzegł: — Ale panu tego nie wolno!

— Nie piję.

— Bo ja jestem pijak. Widzi pan, na jaką mnie stać szczerłość? Po obozle zmorem mnie dusi. Więc piję. Każdy ma swego mola — zrobił minę jakby pożałował tej chwili wyznań.

— Wyciągnij przed siebie ręce, chłopcze — powiedział już swym zwykłym tonem. — Palce razem. Prosto. Daleko. Tak. No, proszę. Nerwy, nerwy. Jakże choroby zakaźne przechodził się?

— Wojnę...

— Bardzo słuszną definicję. Ale proszę o ścisłą odpowiedź.

— Tyfus plamisty. W czterdziestym drugim roku. I czerwonkę. W czterdziestym czwartym roku. Przedtem choroby, takie tam, wieku dziecięcego. Ale epilepsja z tego wszystkiego najefektowniejsza.

— Tak pan uważa?

— Przecież ją nazywają. Wielką Chorobą.

Ochman położył zmacerowaną, szorstką dłoń na karku Lanowieckiego, stał chwilę bez ruchu, jakby nasłuchując. Bohdan poczuł, jak pod dotknięciem tej dłoni kark mu drży. Potem lekarz nie cofając ręki, lekko uciskającą kregi karku, powiedział:

— Wielka Choroba. W odniesieniu do padaczki to nazwa anachroniczna. Wielką Chorobą powinno się nazywać wojnę. Tę kurwę. Wszyscyśmy po niej zainfekowani, uszkodzeni, z defektami. Blizny, szmery, zwąpnienia. zmiany ropne. Ślady zostały. Objawi się dziś, za rok, pod koniec życia. Jeśli ciało nie zostało okaleczone, jeśli było się bez amputacji, to psychika jest chorobowo zmieniona. Mnie nikt w czasie wojny nie zdziesiął łomem po głowie, nie byłam kontuzjowana w żadnej bitwie. I tylko patrzyłem, jak zabijano ludzi w obozie. Taki widok to mniejszy wstrząs niż bliska eksplozja miny przeciwczołowej. Czy ja mam mózg w lepszej kondycji niż ty z tą swoją pourażówką?

Do gabinetu wtargnęła bez pukania siostra Dorota. Zostawiła za sobą niedomknięte drzwi. Nim Ochman, spojrzawszy pytającym wzrokiem, zdążył ją o cokolwiek zapytać, już suchym tonem wojskowego raportu, powiedziała, że przywieźli tych zastrzelonych milicjantów i na dół jest sierżant Wróbel, prosi doktora, żeby zszedł.

Ochman się zachnął:

— Przecież ja tam nic nie mam do roboty. Wystarczy mi kłopotów z żywymi.

— Wróbel chce spisać akt obdukcji — dodała siostra. — Nastaje na to, żeby pan doktor...

— Trudno — westchnął Ochman. — Niech pan, kapitanie, zaczeka tu na mnie. To nie potrwa długo. Wróć z doktorem Rheingoldem. On obejrzy sobie pana. To spec. A siostra tymczasem, nim przyjdziemy, zrobi panu zastrzyk. Ten, co zawsze, siostra Doroto.

Wszedł powłócząc nogami, był dziś w stanie załosnym. Kobiety są silniejsze, więcej wytrzymują, myślał Lanowiecki siedząc półnagi na ceratowej kanapie. Patrzył na duże, męskie dłonie siostry Doroty przygotowującej zastrzyk, czuł się niepewnie po chaotycznych i męczących przejściach ostatnich dni, ale fiolka zręcznie, z cichym chrzęstem przez siostrę ulamana, a potem wolno napęnlająca się płynem strzykawką, bliskość zastrzyku, nadzieja na odprężenie, były jak migotanie latarni morskiej dla zagubionego w nocy rybaka. Nadzieja, otucha, ulga, może najgorsze minęło?

Nie odrywając oczu od strzykawki spytał:

— Co to za historia z milicjantami?

Siostra Dorota miała męski profil, energiczny podbródek.

— Pojechali na patrol we dwójkę, bryczką, koń wrócił sam, a ich znaleźli w lesie po długim poszukiwaniu, z gardami... — uczyniła wymowny gest — od ucha do ucha. Mówią, że to Wehrwolf. No, robimy ten zastrzyk.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

O KWIATKACH I MOTYLKACH...

W jubileuszowym, tysięcznym numerze „Odgłosów” cały nasz zespół otrzymał dowcipnie narysowane konterfektury, będące czymś w rodzaju charakterystyki czy „najkrótszej recenzji”. Tak więc Sześć siedzi zadumany pod drogowskazem, na którym widnieją bardzo istotne adresy, Rysio Binkowski, jako że rolnictwo jest jego domeną — zaopatrzony został w kosę i widły, Andrzej Makowiecki duma w zdezastowanej budce telefonicznej (sam nie ma telefonu i jest to temat jego życia), Jerzy Rzymowski ucieka od słońca, na którym walają się maszynopisy prozy i poezji... Słowem, uchwycono w tych dowcipnych obrazkach istotne elementy działania każdego z nas.

Dla mnie koledy wymyślił iławek w parku, kwiatki i motylki. Jest to chyba najcenniejsza, bo najbardziej zwięzła

charakterystyka tej rubryki. Piszę tu przecież rzeczywiście o sprawach bliźnich, o jakichś książkach i refleksjach, które mi się legną na ich marginesie, o jakichś literackich dyrdymalach... Słowem o przysyłanych kwiatkach i motylkach.

Tym razem więc także będzie o kwiatkach i motylkach, ale bez przenośni zawartej w oniegowym powiedzeniu. W tym temacie klasycznym i historycznym już tekstem jest felieton Antoniego Słonimskiego wydrukowany w „Wiadomościach Literackich” w roku 1931. Jakże to były lata — wszyscy wiemy, jedni z historii, inni — z autopsji.

Felieton zaczynał się tak: „Kwiaty i motyle! Wieleż radości przynoszą nam te stworzonka. Ktoś porównał motyla do fruującego kwiatu. I słusznie. Owad błonkoskrzydły, mieniący się wszystkimi kolo-

rami tęczy, gdy w kapryśnym locie muśnie skrzydełkami płatki naturcy, rzędy albo róży pełnej, gdy poderwie się z kielicha, wygląda jak płatek kwiatowy oderwany przez wiatr od łodygi i uniesiony wysoko w powietrze...”

Felieton nosi tytuł „Kwiatki powiedzcie mu...” i kończy się zdaniem: „Zanucmy piosenkę ludu naszego, patrząc z ufnością na wiosenne obłoczki piezaste, które rozpędza wiatr swawolnik...”

Widać więc, że jak trzeba, to można także pisać o kwiatkach i motylkach. Oczywiście ten bełkotliwy tekst był złośliwym żartem wytrawnego felietonisty.

Ale nie żartował Julian Przybysz, kiedy przed kilkunastu laty z trybuny Zjazdu Literatów powiedział to słowa: „Działalność pisarska jest działalnością ideologiczną, pisarz

jest zawsze, chce czy nie chce, politykiem, choćby mówił o kwiatkach i motylkach”.

Miał rację mądry, wnikliwy Poeta, bo przecież jeszcze Słowacki dostrzegł że prawdy pisząc w „Śnie srebrnym Salomei”: „W zapachu kwiatów są akordy i różne wielkie na świecie muzyki”. Miał rację mądry Przybysz — pisanie o motylkach było udziałem największych pisarzy w naszych dziejach.

„Dni nasze jak dni motylka
Życiem wschód, śmiercią
południe”

Autor tych strof pisał także o kwiatkach, liljach i pierwiosnkach, pisał o motylkach — a potem napisał „Pana Tadeusza” (też dużo o kwiatkach i motylkach), a pod koniec życia redagował „Trybunę Ludową”. Nie lekceważmy flory i entomologii w literaturze!

WIDOK



NA WSPAK

Twórczość Joris-Karla Huysmansa (1848-1907), pisarza, który cieszył się ogromną popularnością w okresie modernizmu, jest współczesnemu polskiemu czytelnikowi raczej nieznaną. To też dobrze się stało, gdyż w „Czytelniku” ukazał się ostatnio przekład powieści, która we francuskim oryginale ukazała się w roku 1884 i była przez młodego Paula Valery nazwana „biblią i księżką czytawaną do poduszki”. Mowa jest tu o powieści „Na wspak”. Jej publikacja zdecydowanie zakończyła u Huysmansa okres fascynacji naturalizmem i pisarstwem Zola. Od tej pory Huysmans podjął własną drogę twórczą, która będzie nazywała się naturalizmem. Od tej pory będzie szokował, a nieraz gorszył swoich współczesnych twórczością, która wyprzedzała obowiązujące wówczas gusty i prądy literackie. Prawdziwy skandal wywołała następnie, opublikowana w 1891 roku, powieść pisarza poświęcona satanizmowi „La bas”.

O przekładzie powieści „Na wspak” opisujać przedwziewne przygody duchowe ale i nie tylko, duka Jana Floressas des Esseintes, tak po latach pisał sam Huysmans: „Na wspak” rąbnęło niby meteor w pole jarmarku literackiego, wywołując ostupienie i złość; prasa straciła głowę, nigdy jeszcze nie namajęła tyle w tyłu artykułów, potraktowanych mnie jako mizantropia — impresjonizm, des Esseintes zaś oceniwszy jako maniaka i skomplikowanego durnia (...)

Współczesnego czytelnika powieść „Na wspak” na pewno nie zaskakuje w takim stopniu. Mimo to radzimy jednak przed rozpoczęciem lektury dokładnie zapoznać się z wielo wyjaśniającym, znakomitym wstępem Juliana Rogozińskiego.

J.-K. Huysmans „Na wspak”, przełożył J. Rogoziński, Czytelnik, W-wa 1976, str. 276, cena zł 32.

PIĘŚNI MALDORORA I POEZJE

Jeszcze jedna książka, która ucieszy miłośników i historyków literatury. To „Pieśni Maldorora” i „Poezje”, pierwszy pełny polski przekład dzieła Lautréamonta (pseudonim Izidora Ducasse), poety ze starszego pokolenia symbolistów, nie znanego prawie aż do momentu, kiedy po pierwszemu wojnie światowej odkrył go na nowo nadrealizm. Pierwsze wydanie „Pieśni Maldorora” ma swoją historię. Opublikowano je mianowicie w roku 1869 kosztem autora, ale belgijski wydawca zrezygnował z wypuszczenia książki na rynek, obawiając się nie tylko skandalu, ale i procesu sądowego, który niechybnie groziłby mu za obrazę moralności. O autorze współcześni mówili różnie. Niektórzy przypisywali mu chorobę umysłową. A i „dzisiejszy czytelnik — pisze we wstępie tłumacz Lautréamonta, Maciej Żurowski — też musi czuć się nieswojo wchodząc w kontakt z wyobraźnią tak rozpasaną, ekshibicjonistyczną do tego stopnia nie znającym oporów i okrucieństwem godnym Sade'a, jak sądził Huysmans, a po nim nadrealizm. Wstęp, gdzie autor uprzedza, że będzie mówił rzeczy, których lepiej nie czytać, jest bardzo łagodny, i nie odpowiada temu, co się spotyka dalej”.

I znowu, jak w wypadku prozy Huysmansa, zalecamy czytelnikom zapoznać się najpierw z wstępem Macieja Żurowskiego. Bez tego wprowadzenia trudno będzie przebić się przez niełatwą twórczość Lautréamonta. Kto będzie w niej szukał tylko taniej sensacji, rozczaruje się już po paru stronach lektury.

Lautréamont — „Pieśni Maldorora i Poezje”, tłumaczył M. Żurowski, PIW, W-wa 1976, str. 228, cena zł 70.

II TOM DZIENNIKÓW NAŁKOWSKIEJ

Dość długo przyszedł nam czekać na drugi tom „Dzienników” Zofii Nałkowskiej, ale oto wreszcie jest. Przestrzegamy tych, którzy chcieliby kompletować w swojej bibliotece kolejne edycje diariusza pisarki, że mimo dwudziestotysięcznego nakładu, w jakim ukazał się II tom, mogą być z jego nabyciem kłopoty. Wszystko dlatego, że między wydaniem pierwszego i drugiego tomu minęło sporo czasu, i jeśli zaprzężony księgarz, nie podstępnie nam, że właśnie ukazał się kolejny tom, to istnieje kilka szans, żeby go zdobyć. Przy całym zrozumieniu dla trudnej pracy wydawcy, a także Hanny Kirehner, której zawdzięczamy przygotowanie „Dzienników” do druku, wydaje się jednak, że do brzo byłoby w drugim tomie zamieścić krótką informację, kiedy — przynajmniej orientacyjnie — ukaże się tom trzeci, w trzecim — kiedy będzie czwarty itd. A tak jesteśmy zdani na przypadek i lot szczęścia.

Drugi tom „Dzienników” Nałkowskiej obejmuje lata 1909-1917. Między pierwszym, który kończył się na roku 1903 i był biografią wieku dojrzewania i wczesnej młodości pisarki, istnieje więc blisko sześć lat przerwy. Na początku 1909 roku Nałkowska ma już w swoim dorobku pisarskim trzy powieści: „Kobiety”, „Książki” i „Również”, rozpoczyna właśnie kwartę, najbardziej liczącą się z jej wczesnego dorobku — „Narcyzę”. W pierwszym tomie Nałkowska, pełna jeszcze młodzieńczej pychy i zapamiętania w siebie, postanawia zostać pisarką. W tomie drugim jest już pisarką, zarabiająca i utrzymująca się z pisania. Znajdziemy więc tu wiele partii zapisów dotyczących jej twórczości, zmieniającego się warsztatu, wiele partii poświęconych różnorodnym wydarzeniom politycznym, kulturalnym i literackim, w dzienniku Nałkowskiej poznamy bliżej wielu ludzi znaczących i wówczas i dzisiaj wiele w dziełach naszej kultury, literatury. Wiele tu również fragmentów bardzo osobistych, wynurzeń dojrzewającej kobiety, przeżywającej kolejne, gorzkie rozczarowania i klęski uczuciowe. Trapiący jest również notatnik lektur Nałkowskiej, lektur, które posłużyły jej samokształceniu, ale były również źródłem inspiracji literackiej, porównań i własnych poszukiwań.

Trudno oczywiście w krótkiej notce przedstawić cały arcybogaty materiał zawarty w „Dziennikach” 1909-1917. A i zachęcać do lektury raczej nie trzeba. Bo jak pisał Hanna Kirehner: „Niejasny więc i wielowartościowy jest status tych wyznań, w każdej chwili bogatszy od wybranej przez czytelnika płaszczyzny odbioru: czy bowiem poznajemy prawdziwy życiowy pisarki, Zofii Nałkowskiej, czy też czytamy początek powieści, jakiej w naszej literaturze nie było? Powieści o kobiecie oddarzonej niepospolitą inteligencją, talentem i urokiem osobistym, żyjącej w samym centrum polskiej kultury, polskich dziejów? Powieści, która zasadniczo modyfikuje tradycyjny literacki stereotyp kobiety polskiej, powieści o historii i polityce, powieści o miłości i o losie człowieka widzianych oczyma takiej właśnie kobiety?”.

Zofia Nałkowska „Dzienniki — II — 1909-1917”, opracowanie, wstęp i komentarz: Hanna Kirehner, Czytelnik, W-wa 1976, str. 511, cena zł 85.—

BIOGRAFIA GENIUSZA

W serii PIW „Biografie Wielkich Ludzi” ukazała się książka Georga R. Mareka „Beethoven — biografia geniusza”. Autor urodził się w Wiedniu, zaś w roku 1920 przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. W roku 1930 został kierownikiem jednego z działów wytwórni płyt, potem dyrektorem RCA Record Division Był Jurorem Metropolitan Opera Quiz, publikuje w pismach muzycznych, występuje w radio i telewizji, gdzie propaguje nagrania wielkich artystów. Ma na swoim koncie książki poświęcone muzyce poważnej, napisał biografie Pucciniego i Richarda Straussa.

W biografii Beethovena G. R. Marek zajmuje się przede wszystkim człowiekiem, mniej muzyką. Na tle epoki przedstawia tragedie wielkiego artysty tracącego słuch, człowieka, który z powodu swego trudnego usposobienia był głęboko nieszczypliwy. Spośród świadectw ludzi współczesnych — pisze G. R. Marek — wybrałem te, w których, jak sądzę, dał się słyszeć ton prawdy. Po drodze odpadło kilka anegdot”. I jeszcze: „Jestemsi ofiarą nadmiaru wspomnień, nadmiaru legend, wrażeń, czy to balwochwalczych czy kopernikowskich. Beethoven był niezmiernie sławny. Stał się legendą już za życia”. W biografii Beethovena autor konsekwentnie realizuje swój cel: jak najmniejszą legendę, jak najwięcej prawdy o życiu wielkiego artysty.

George R. Marek „Beethoven — biografia geniusza”, przełożyła E. Zycielska, PIW, W-wa 1976, str. 677, cena 150 zł.

LITERATURA

KRYTYKA I KRYTYCY

Jeden z aforyzmów Karola Irzykowskiego brzmi: „Magik urzędują dziesiąte przedstawień, wyczerpuje wszystkie triki — w końcu pozostaje mu jeszcze jeden: pokazać swój warsztat, to, co jest za zasłoną. To jest ostatnie przedstawienie. Tak też jest w literaturze: krytyka kończy”. Okazuje się, że nie. Zręczne powiedzenie synnego mózgowca traci na aktualności w świetle niektórych wypowiedzi zamieszczonych na łamach „Życia Literackiego” w szerokiej dyskusji o krytyce literackiej oraz w cyklu „Szkoła krytyków” publikowanym systematycznie w poznańskim „Nurcie”. Z ich lektury odnieść można wrażenie, że krytyka istotnie kończy, ale się...

Co spowodowało, że artykuł Krzysztofa Nowickiego rozpatrzony w poprzedniej doświadczonej i znaczących w życiu literackim kraju krytyków? Dlaczego nagle krytyka literacka okazała się instrumentem tak wrażliwym i w literackiej maszynie do bicia zajęła na czas jakiś miejsce poezji? Z czego wynika niepokój i dość powszechne poczucie niedosytu?

Odpowiedź jest skomplikowana i prosta zarazem. Prosta — bo animsy się spostrzegł, jak wypowiedziane na początku stulecia przez Stanisława Brzozowskiego słowa „Krytyka musi być najgłębszą i najsuubtelniejszą

świadomością moralną danej epoki” straciły swe dawne znaczenie. Skomplikowana — bo wymagająca wyczerpującej analizy istniejącego stanu rzeczy. Można chyba potraktować wspomnianą dyskusję jako swego rodzaju raport o stanie krytyki u nas. Wynika z niego niedwuznacznie, że w rezultacie rozmaitych przemian w mechanizmach życia literackiego i zmiany roli literatury krytyka sprzodawca została do poziomu usługowego, to znaczy dominującym dziś typem krytyki jest „krytyk na usługach”. Odnacza się on sprawną pióro i umiejętnością przystosowania się do wymagań jego poglądów zamawiającego. To jedna strona medalu. Druga polega na tym, że mimo istnienia wcale pokażnej grupy wybitnych krytyków z rzadka tylko pojawia się wypowiedź, wyrażająca twórczość pewien system, spójny model. Nieczęsto akt krytyczny staje się tekstem nie tyle o dziele samym, co z powodu dzieła. Postulatywna funkcja krytyki — spoglądania na literaturę z punktu widzenia istniejących czy pożądaných sytuacji — ustąpiła zdecydowanie miejsca funkcji poznawczej. Stąd i ewidentna przewaga recenzji (sprawozdawczych najczęściej) nad próbami bilansowania i weryfikacji. Dotychczasowa służebna pozycja krytyki literackiej wobec insty-

tucji politycznych bądź obyczajowych przeobraża się po prostu w pozycję służebną wobec samej twórczości literackiej. Czy w takim stanie rzeczy krytyka może być pomocna w rozpoznawaniu i wpływaniu na realizację zapotrzebowania społecznego na określone treści literackie?

Zygmunt Lempicki pisał przed półwieciem, iż krytyka powinna mieć charakter pragmatyczny i teleologiczny, to znaczy w praktyczny sposób dążyć do celowego przekształcania sytuacji literackiej. Gdy się czyta wypowiedzi dyskusyjne oraz smutne czy wręcz płaczące zwierzenia krytyków, odnieść można wrażenie, że pragmatyzm polega obecnie jedynie na tym, aby krytykiem po prostu być, funkcjonować w zbiorowej świadomości literackiej jako profesjonalista, którego w końcu ktoś (często zupełnie przypadkowo) czyta, a czasem nawet nieoczekiwanie zacytuje.

W ferworze dyskusji zapomina się nieraz, iż podstawowym zadaniem krytyka jest właśnie konkretyzacja dzieła literackiego, a więc po prostu przede wszystkim pisanie recenzji. A charakter owoch recenzji wyznacza z reguły utwór, o którym się pisze, jego jakość artystyczna i trafność tematyczna. O ile jest to utwór podejmujący problemy aktualne, żywe, interesujące czytelnicy ogół — wtedy i recenzja zostanie z pewnością przeczytana przez szerszy krąg konsumentów prasy kulturalnej i literatury.

Atrybutem krytyki jest konkretność, ścisły związek z epoką. Teoretycy literatury (a także politycy kulturalni) wymagają od

krytyków, by potrafili korzystać z charakterystycznych dla danej epoki sposobów odczuwania, myślenia i przyzwyczajenia, by sąd o dziele wyrażali w sposób jednoznaczny. Jedną z podstawowych cech naszej epoki (czy — jak powiedział Wańkiewicz — międzyepoki) jest duże tempo życia, szybki rytm przemian. I nie zawsze krytyk jest w stanie im dorównać. A co dopiero literaturę! Zresztą zmienia się jej funkcja. Dzisiejszy czytelnik inne ma wymagania, sięga po książkę niekoniecznie dla celów poznawczych czy kompensacyjnych. Coraz więcej czytelników ma świadomość, że literatura jest intelektualną grą.

Krytyka literacka to nie tylko kilka znanych nazwisk. Jest to raczej zespół określonych działań i specjalnych bodźców, wpływających na organizowanie postaw społecznych i ocen poszczególnych faktów literackich. Z tym wszakże, że nie są to działania raz na zawsze ustalone, niezmiennie. Krytyka nie może być tylko komentarzem, przymerzalną literaturę do raz przyjętego szablonu. Jej racją bytu tkwi nade wszystko w ustawicznym poszukiwaniu.

W procesie literackim krytyk opuścił obecnie fotel arbitra i zajął miejsce biegłego. A ostatnio coraz częściej staje się po prostu podświadym. Kto go jednak sądzi? Inni krytycy? Czy nie przypomniało to trochę zamkniętego kregu?

TADEUSZ
BLĄŻEJSKI

PROPOZYCJE

RÓŻA I POSTĘP

Wymyślanie nowych nazw dla starych przedmiotów zostało już dość dokładnie omówione w Jerzy Winiarski w „Głosie Robotniczym” i Ibis w „Żyju Warszawy” przedstawił nawet powody, dla których robi się taką ekwilibrystykę słowną, demaskując tym pęd do tworzenia nowości tylko w słowach. Jeśli bowiem starym przedmiotom nadaje się nową „zapornicę”, to może to jedynie komisji cen sugerować, że fabryka wypuściła na rynek zupełnie nowy towar. A przecież nawet jeśli byłoby skłonne w to nie wierzyć, gdyby im całą sprawę dokładnie zreferować.

Obok zaśmiecania naszego codziennego języka nazwami potworkami, wymyślonymi przez „sprytnych” producentów, występuje zjawisko stokroć gorsze, groźniejsze — zaśmiecanie języka terminami pseudonaukowymi, które mają pokazać czytelnikom, jaki to autor erudyta, jakimi dysponuje pokładami wiedzy i myśli, których nawet nie sposób wyrazić normalnym, prostym, polskim językiem. Na ten problem zwrócić nam uwagę Czytelnik — Grzegorz Grudniowski, który był uprzejmy dokonać dokładnej analizy kilku tekstów drukowanych na łamach „Odgłosów” w ostatnim czasie. Trudno się z argumentami Grzegorza Grudniowskiego nie zgodzić, cha-

ciąż — jak mnie upoważniono do takiego stwierdzenia — redakcja stara się w miarę swoich sił i możliwości walczyć z tego typu zjawiskiem, ale chwilami jest to już ponad jej siły.

Mógłbym tu już od siebie podać kilka przykładów, jak zawadzy żargon wnika do powszedniego języka Polaków, jak staje się czymś normalnym, chociaż dla wrażliwego ucha ciągle jeszcze stanowi zgryźt. Dla mnie na przykład takim zgryźtem jest powszechnie stosowany już wyraz „wymóg”, chociaż kiedyś powszechnie było „wymaganie”. Ale rozumiem, że język jest żywy i muszą powstawać nowe pojęcia, które być może nam się nie podobają, niemniej zdobywają sobie prawo obywatelstwa. Nie ma to jednak nie wspólnego z żargonami profesjonalistów, którzy chcieliby je podnieść do rangi języka „polskiego”, a którzy sami już nie potrafia porozumiewać się językiem polskim. Ta choroba — niestety — nie omija i kół naukowych, które powinny szczególnie troszczyć się o poprawność polszczyzny.

Szybki rozwój nauki — a żyjemy przecież w dobie rewolucji naukowo-technicznej — powoduje, że poszczególne dyscypliny koncentrują uwagę na swoich sprawach wewnętrznych, odcinając się od związków z innymi, a

jednocześnie powstają nowe gałęzie nauki, które zajmują się „stykami” kilku różnych dziedzin specjalistycznych. Stąd też i terminologia poszczególnych dyscyplin naukowych zaczyna być tak wąsko specjalistyczna, że niezrozumiała dla przedstawicieli nauk pokrewnych. To jeszcze jestem w stanie zrozumieć, chociaż zdając sobie sprawę z tego, że utrudnia to coraz bardziej popularyzację nauki, co jest przecież rzeczą niezbędną właśnie w dobie rewolucji naukowo-technicznej.

Trudno mi jednak zrozumieć zjawisko, kiedy w działalności praktycznej dochodzi do takiej izolacji, że jeden producent wypuszcza na rynek produkt, nie zastanawiając się, czy inny jest w stanie go uzupelnnić. Myślę tu o minikalkulatorach „Elwro”, do których nie pasują baterie „Centry”. Minikalkulatory — jak wiadomo — powstają we Wrocławiu, a baterie w Poznaniu. Z Wrocławia do Poznania nie jest znow tak daleko, a jednak wrocławskie „Elwro” podjęło produkcję bardzo poszukiwanych minikalkulatorów, nie troszcząc się o to, czy „Centra” dysponuje odpowiednim źródłem energii. Okazało się, że „Centra” produkują różne baterie, pasujące pozornie do minikalkulatorów, ale które wystarczają tylko na pół godziny ich pracy. Minikalkulatory „Elwro” zużywają bowiem więcej prądu niż zagraniczne, a baterie „Centry” mają mniejszą pojemność.

Rzecz cała — wydawałoby się — jest niebywale prosta. Wystarczyło porozumienie między „Elwro” i „Centrą” a nie byto-

by problemu, o ile oczywiście „Centra” byłaby w stanie wyprodukować baterie o niezbędnej pojemności. Z drugiej strony „Elwro” mogłoby pokusić się o udoskonalenie minikalkulatorów, tak, aby nie potrzebowały one aż tyle energii. Od dawna wskazane wiadomo, że rzeczy najprostsze są najtrudniejsze.

Pojawienie się zagranicznych i polskich minikalkulatorów zbulwersowało też świat nauczycielski. Pojawilo się przed wielu nauczycielami pytanie: czy dopuścić minikalkulatory do szkoły? Powtarza się tu historia z długopisami, przeciw którym tak kiedyś protestowano, a które zdobyły sobie pełne prawo obywatelstwa. Być może dożyje i takich czasów, kiedy w szkole znową znową powszechnie wszystkich uczyć pisaną na maszynie i kiedy nikt nie ośmieli się protestować przeciw minikalkulatorom. I kiedy przed uruchomieniem nowej produkcji rzeczą naturalną będzie zawarcie odpowiednich porozumień z innymi producentami. Po prostu, kiedy ludzie znową świat traktować we wzajemnym powiązaniu, a nie w oderwaniu.

Głosząc wszakże za postępowaniem nie chciałbym, aby kiedyś słowika zastąpiono „wroblem śpiawającym”, a różę nazwano „pachnącym platkoskrętem”. Postępowanie bowiem powinno naturalnie odbijać się w języku, eliminując bezdurne wymyślenia pseudonaukowców. Niech róża pozostanie różą, a życie szybko idzie naprzód.

MARCIN RODAK

JACEK SAWASZKIEWICZ

PROJEKT „FAETON”

Ci, których obecność była proceduralnie wymagana, już przyszłi. Skinęli niemo głowami i zasiedli po obu stronach Menoactla. Wbili posępny wzrok w szklaną ścianę. Nie chcieli patrzeć sobie w oczy. Gdyby nie przepisy Kodeksu Postępowania, nikt nie zmusiłby ich do uczestniczenia w tym ponurym preludium do nieodległego makabrycznego spektaklu, którego, na szczęście, nie zobaczą; przecież nie oczekuje się od nich wydania dyspozycji: decyzja zapadła wcześniej, na tajnym głosowaniu, a zawczasu przygotowana depesza, o ustaleniu od dawna treści, leżała przed łącznikiem w węzle łączności.

Menoactla bawił ich dretwy pesymizm. Sam także czuł się paskudnie, ale kiedy ogarniali go wątpliwości, kiedy odzywało się w nim sumienie, kiedy pytał siebie, czy nie zrezygnować — wspominał projekcję archiwalnych obrazów z Ery Bogów i wracała mu pewność, pewność i mściwa satysfakcja. Zeus nie żył, nie żyła Pyrra i Deukalion — postacie historyczne dla tych obok — dla Menoactla nadal żywe, nienawistne. Miał prawo, a zważywszy racje wyższe — wręcz obowiązki zapłacić koterii Zeusa za krzywdy wyrządzone jego przodkom. Nigdy dotąd w karierze Menoactla interesy prywatne nie zbiegły się tak dokładnie z interesami publicznymi.

— Teleweźle — zadysponował. Na szklanej ścianie pojawił się obraz: wnętrze pomieszczenia, dużego jak to, w którym siedzieli, pośrodku konsola najeżona lebkami przełączników sensorowych i kontrolerek, w przodzie szklana ściana, ciemna teraz. Nad konsolą pochylał się łącznik. Widzieli jego plecy. — Zaczynaj — rzekł Menoactl.

Łącznik wyprostował się. Dotknął bocznego przełącznika. Na szklanej ścianie węzła łączności zobaczyli siebie, nadeptali przynębionych i żalonych. Łącznik sprawdzał, czy są w komplecie. To był jego obowiązek.

— Korekta: front — mruknął Menoactl zażenowany swoim widokiem.

Szklana ściana węzła łączności znikła, znaleźli się na jej miejscu, vis-a-vis łącznika. Jego twarz była zimna, bez cienia wyrzutu. To ślepe narzędzie w moich rękach — pomyślał Menoactl. — Ale to również człowiek. Czyżby doprawdy nie czuł? Dlaczego ci młodzi są tacy nieczuli? Może brakuje im wyobraźni? To samo pytanie. Menoactl zadał sobie w trakcie rozmowy z Faetonem, swoim podwładnym. Faeton, stawiający pierwsze kroki w karierze urzędnika, zjawiał się u niego pewnego ranka, nieznanosowany, i z marszu zakomunikował, że przychodzi z gotowym projektem zniszczenia Atlantydę. Powiedział to niczym robot meldujący wykonanie rozkazu. Menoactla, gdy patrzył na tego chudego młodzieńca o przyczepionej głowie i szczytnej czuprynie, zdejmował wstręt. Faeton pościł się obryzdyliwie i zionął Menoactlowi w nos oddechem pachnącym jak ropiejący żab.

Menoactl nie odprawił Faetona z dwu powodów: primo — interesowało go, skąd Faeton wie o wspomnianym projekcie, a zwłaszcza o założeniach objętych wszak tajemnicą; sekundo — uwierzył, że ten kaprawy urzędnik opracował projekt. Wskazał Faetonowi miejsce, sam zaś stanął przy lampierii, spod której płynęła orzeźwiająca woń powietrza doprowadzanego przez urządzenie klimatyzacyjne.

— Pracuję w komórce tranzytu tajnego, rejestruję infor-

macje przesyłane głównym kanałem, dlatego znam założenia projektowe — rzekł Faeton, jak gdyby odpowiadając na pytanie.

Menoactl zerknął na jego do krwi obgryzione paznokcie i wzdrzgnął się. Poprosił o szczegóły. Starał się odwrócić swoją uwagę od aparycji Faetona. Ledwo go znośił, chociaż dzieliła ich niemalże cała szerokość pomieszczenia. Tu było stanowczo za mało miejsca dla nich obu.

— Zrelacjonuję po kolei. Założenia są takie: zmieść z powierzchni Gai Atlantydę i Lemurię, bez użycia broni, przy minimalnym nakładzie środków, wykorzystując siły przyrody. — Faeton zwilżył śliną spieczone wargi i lypnął na Menoactla. — Moja propozycja jest następująca: Układ Słoneczny obiega kometa zwana Feniksem. Co pięćset lat zbliża się ona do Sol, widać ją wówczas na Gai nawet za dnia. Jej jądro składa się głównie z brył i kryształów zamrożonych gazów. Gdyby przyłożyć do niej wektor siły o zgodnym kierunku, lecz ujemnym zwrocie, wtedy...

— Wtedy — powtórzył Menoactl z rozrządzeniem. Ciągłe — mimo że umknął wzrokiem w przeciwny kąt — widział ciemne, beznamiętne, głęboko osadzone, na pół przykryte oczy Faetona.

— Wtedy kometa straci prędkość i wejdzie na krótszą, ciasniejszą orbitę. Za sto lat znajdzie się tak blisko Gai, że część jej jądra spadnie na tę planetę.

Menoactl oderwał plecy od lampierii.

— I? — podsunał, gdyż Faeton przerwał.

— Gaja jest elipsoidą obrotową o niezbyt stałej równowadze, bowiem jej kształt nie bardzo odbiega od kuli: równikowe wypiętnienia kontynentów równoważone są przez sporej grubości lodowe czapy biegunów. Przy skośnym zderzeniu meteorytu z Gają jego moment pędu zsumuje się z momentem bezwładności planety. W rezultacie, jakkolwiek kierunek osi obrotu Gai pozostanie ten sam, zmieni się położenie kontynentów względem tej osi obrotu.

Menoactl zmarszczył brwi. Słuchał z wrażliwą uwagą.

— Jakże to pociągnie za sobą skutki?

— Skutki — Faeton po raz pierwszy uśmiechnął się, a był to uśmiech straszny. — Ci z terenu wokół punktu zero nie odczują żadnych skutków, bo zginą nim cokolwiek dotrze do ich świadomości. Pozostali, zamieszkujący obszary odległe, zrazu pomyślą, że ich słońce zwiariowało, potem ziemia zadry pod nimi, usłyszą jeden ogłuszający ryk, runie na nich wichura, ogień, a w chwili

później woda, olbrzymie masy wody...

— Może bez epiki...

Oczy Faetona znieruchomiały w krótkim namyśle.

— Cóż, trudno inaczej referować przypuszczenia — mruknął oschle i podjął: — Wzdłuż równika ciągnie się pas kontynentu przecięty wodą w czterech miejscach, które wyodrębniają z tego nieprzerwanego ciągu kontynentalnego dwie gigantyczne wyspy: Atlantydę i Lemurię —

położone po przeciwnych stronach globu. Blok zamrożonych gazów, kiedy z prędkością kosmiczną wpadnie w atmosferę, zamieni się w strumień ognia. Siła uderzenia wprasa Atlantydę w dno oceanu. Wstrząs tektoniczny przeniknie przez bryłę planety i roznieśli Lemurię. Jednocześnie przesunięcie osi wirowania Gai o około — tak liczę — jedną dwunastą pełnego kręgu spowoduje przemieszczanie się mas planety, wprzód w wodnych. Człoko obu fal zbiegających do wypełnienia luki w kształtującej się nowej elipsoidzie będzie miało wysokość równą różnicy między promieniem formującego się dopiero a starego równika, czyli circa jedną dziesiątą tego ostatniego; woda pokryje niemal całą planetę. Nieco później nastąpią pionowe i poziome przesunięcia ładu. Atmosfera wypełni się gazami wulkanicznymi i pyłem, który przesłoni Sol i skondensuje parę wodną, a w następstwie wywoła ulewne deszcze. Dodajmy do tego gwałtowne topnienie czap lodowych...

— A jeszcze później? — zapytał cicho Menoactl. Zaszło mu w gardle.

— Feniks pozostanie na orbicie z czasem obiegu Sol nieco powyżej 76 lat...

— Ale co z Gają?

— Zacznie pęcznić wzdłuż nowego równika. Unosząca się skorupa wyprze wody. Z Atlantydę nie pozostanie nic, Lemuria — zważywszy jej górzysty teren — przeobrazi się w mnóstwo małych wysepek rozsianych na półkuli południowej. Nieprzerwany dotąd pas łądowy popeka, a wskutek suchego kontynentalnego rozpełnienia się po całym globie. Czapy lodowe przesużą się w okolice nowych biegunów...

— Doszczętna zagłada biologiczna...

Menoactl szarpnął zębami naskórek przy paznokciu, którego prawie nie było.

— Niezależnie — odparł obojętnie. — W wyższych partiach życia ocaleje. Wiza apokalipsy przeraziła Menoactla. Nie ułożyła mu myśli, że będzie to zapłata za zbrodnie Zeusa, najchętniej w nieskończoność zwałaby z przedstawieniem projektu Faetona ekspertem, ale lękał się, że zbytnia opieszałość wzbudzi w

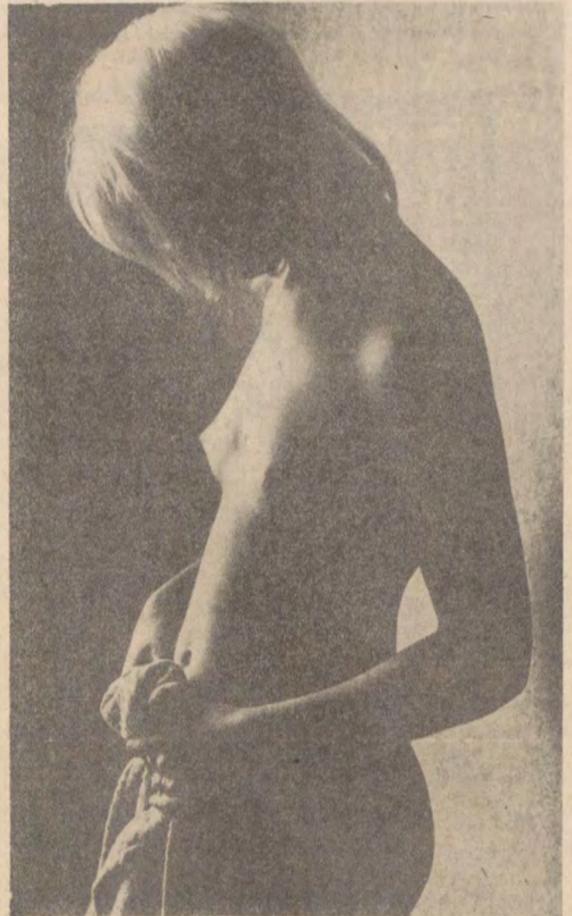


Foto: Archiwum

Faetonie podejrzenia, i że Faeton uzna go za kunktatora. Zaczął się bać projektodawcy, a w każdym razie liczyć się z nim; w tydzień później zagadnął tego onychofaga, czy nie będzie miał wyrzutów sumienia. — A ty? — odparł Faeton z pewnością. Menoactl zmilczał, a nazajutrz zreferował projekt ekspertem. Niczego im nie sugerował, zostawił ich nad dossier, niech sami zdecydują, sobie zaś wzmógł, że jest czysty; kiedy zdecydowali, odetchnął z ulgą — snadź los tak chciał.

I teraz siedział spokojny; za treść depeszy również nie odpowiadał. Udział bodaj łącznika, który właśnie uprzedzał żyjącego wśród Atlantów wydawcę o zaplanowanym kataklizmie, będzie większy niż Menoactl.

— Powiadom także wszystkich naszych ludzi, żeby przygotowali się na wypadek potopu. — Łącznik skończył.

Obrzucił wzrokiem Menoactla i siedzących obok niego.

Menoactl dał znak, że chce mówić. Łącznik muśnięciem palców przedłużył tor foni do dyspozytorni. Zielona kontrolka na konsoli w węzle łączności sygnalizowała aktywność toru.

— Jeszcze jedno, Noe — powiedział Menoactl. — Ponieważ jak słyszę, powódź obejmie duży obszar, spróbuj uratować przedstawicieli co najmniej gatunków zwierząt. Skończyłem.

Wszystko co dotyczyło projektu „Faeton” było skrupulatnie notowane. Ta rozmowa także. Dlatego Menoactl mógł być z siebie zadowolony. Stawa „jak słyszę” i „powódź”, których użył w wypowiedzi, świadczyły o jego słabym zorientowaniu, a prywatna próba do wydawcy — no, to już w ogóle był jeden jedyny pozytywny akcent w tym całym makabrycznym przedsięwzięciu.

HENRYK CZARNECKI

WEEKEND

OSOBY: ON, ONA, MOTOCYKL (lub AUTO).

AKT I

MOTOE: Wrrrrrrrrrr. Stop. (uwaga: motor też może czasami odezwać się ludzkim głosem).

ONA: Dlaczego stanęliśmy?

ON: A wiesz, że nie wiem. Może zabrakło benzyny? Zaraz sprawdzę (sprawdza).

ONA: I co?

ON: Niestety... Benzyna jest.

ONA: To dlaczego mówisz „niestety”?

ON: Bo gdy zabraknie benzyny, to sprawa jest prosta. Zupełnie prosta. Pół biedy.

ONA: Dlaczego pół?

ON: Bo gdy się znów naleje, to znów można jechać.

ONA: A te drugie pół?

ON: Gdy nie ma jej skąd nalać. Hi, hi... Ale wtedy człowiekowi jakos izej. Ma się przynajmniej świadomość, że się wie, co się stało.

ONA: A teraz nie wiesz, co się stało?

ON: Trochę to wiem.

ONA: No?...

ON: Ze coś się, widać, musiało zepsuć.

ONA: A co?

ON: Tego to już, niestety, nie wiem.

ONA: Co teraz zrobimy?

ON: Chyba trzeba będzie pomyśleć... Tak! Zejdź z motoru i usiądź... na przykład w rowie.

ONA: A ty?

ON: Ja też sobie usiądę.

ONA: Już wymyśliłeś?

ON: Cicho... (po chwili) Już!

ONA: Na szczęście.

ON: Tak.

ONA: Dzięki Bogu.

ON: (radośnie) To nie sztuka zrobić. Trudniej wymyślić.

ONA: (radośnie) Aha... A co wymyśliłeś?

ON: Że musimy iść do chłopca i poprosić o nocleg...

ONA: To nie będziesz reperował?

ON: Nie.

ONA: Dlaczego?

ON: Bo to poważne uszkodzenie.

ONA: Skąd wiesz?

ON: Bo nie umiem zreperować.

ONA: Przecież nie próbowałeś?

ON: Bo nie lubię rozczarowań.

ONA: Jakich rozczarowań?

ON: Mogłoby się, na przykład okazać, że wiem co się zepsuło...

ONA: To świetnie!

ON: ...ale mógłbym nie umieć tego zreperować.

ONA: Albo...

ON: Właśnie. Albo mógłbym umieć zreperować, ale nie wiedziałbym co się zepsuło.

ONA: A innych możliwości już nie ma?

ON: Są.

ONA: Jakież?

ON: Mógłbym, na przykład i wiedzieć co się zepsuło i umieć to zreperować.

ONA: (z nadzieją) No widzisz!

ON: Ale to niemożliwe.

ONA: Dlaczego?

ON: Bo ja się na tym przecież zupełnie nie znam... No, to chodźmy szukać noclegu.

AKT II

ON, ONA, CHŁOP.

ON: Dobry wieczór, gospodarzu.

ONA: Motor nam się popił.

ON: Na amen.

ONA: Pstryknęło, zgrzytnęło i trzasło.

ON: Klops.

ONA: I właśnie szukamy noclegu.

CHŁ.: Pokoju to ja nie mam.

ONA: Ani nie w tym rodzaju?

ON: Może jakaś stodoła...

CHŁ.: Stodoła to by się może i znalazła.

ON ONA

ON, ONA (jednocześnie) Świetnie. Znakomicie.

CHŁ.: Zaraz, zaraz... a świadectwo ślubu macie?

ON, ONA: (jednocześnie) Nie.

CHŁ.: W takim razie nic z tego.

ON: Dlaczego?

ONA: No właśnie?

CHŁ.: Bo ja mam stodołę taką więcej... jednopokojową.

A jest taki przepis, że bez ślubu nie można.

ON: Był taki przepis.

ONA: Był, rozumie pan?

ON: A teraz już nie jest.

CHŁ.: Ale ja jestem taki więcej... staroświecki. Coś taki w retro. A bez ślubu nie można.

ON: A co to panu przeszkadza?

CHŁ.: Mnie nie przeszkadza, ale o zgrzeszenie mi chodzi.

ONA: A kto się ma gorszyć?

CHŁ.: W stodołę trzymam inwentarz. Takl więcej... małoltni.

ONA: To co my teraz zrobimy? (do NIEGO) Mów coś.

ON: No panie, bądź pan człowiekiem, co?

CHŁ.: Ja wiem?... Chyba, żeby pani wynajęła dla siebie pokój u nas w chałupie.

ONA: Ale przecież pan nie ma wolnego pokoju.

CHŁ.: Ano... nie mam.

ONA: A łóżko?

CHŁ.: Łóżka też nie mam.

ON: No więc jak?

ONA: Z tym pokojem.

CHŁ.: Wynajmie pani sobie tylko pokój, a spać pań przyjdzie tutaj. Do stodoły.

ON: Po co ta cała kombinacja?

CHŁ.: Żebym sumienie miał takie więcej... czyste. Pani wynajmie sobie pokój, pan stodołę, a co za moimi plecami będzie się działo, to mnie nie obchodzi. Pałca państwo za dwa apartamenty to i przepis będzie taki więcej... nie naruszony, ja trochę zarobię, i państwo się prześpią.